




**HARLEQUIN**<sup>®</sup>

GORĄCY ROMANS<sup>®</sup>



DIABELSKIE  
SZCZĘŚCIE

**KIMBERLY VAN METER**

**Kimberly Van Meter**

**Diabelskie szczęście**

Tłumaczenie:  
Krystyna Rabińska

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

- Halo? Eee... Halo? Jest tam ktoś?

James Carmichael, dla znajomych J.T. Carmichael albo po prostu J.T., ocknął się z letargu, uderzył głową o kadłub turbośmigłowca Beechcraft i puścił niezłą wiązanę. Kac rozsadzał mu mózg, a ostre promienie południowokalifornijskiego słońca raziły niemiłosiernie. Zmrużył oczy.

- Kto pyta? Jeśli wierzyciel, to mnie nie ma.

Rudowłosa długonoga młoda kobieta w wąskiej spódnicy i szpilkach, z twarzą chińskiej lalki, spojrzała na niego znad okularów w ciemnej oprawie.

- Nie jestem wierzycielem, panie... - Zawiesiła głos.

J.T. wyprostował się, wyjął z kieszeni brudną szmatę, wytarł ręce i taksującym spojrzeniem zmierzył intruza. Doszedł do wniosku, że nieznajoma nie kłamie, bo wierzyciele zazwyczaj nie zjawiają się osobiście odebrać dług, a poza tym raczej nie wyglądają tak jak ona. Przynajmniej miał taką nadzieję.

- J.T. Carmichael, współwłaściciel Błękitnych Przestworzy - przedstawił się. - Drugim właścicielem jest mój brat, Teagan. Czym mogę służyć?

Nieznajoma odgarnęła pasma włosów z twarzy i poprawiła okulary.

- Chcę dostać się do Ameryki Południowej. Może mnie pan zabrać?

Ameryka Południowa? Szmat drogi. Ale i spora kasa. Natychmiast pomyślał o wczorajszej kłótni z bratem. Teagan był gotów się poddać, on jeszcze nie chciał rezygnować z marzeń.

Przez głuche dudnienie w głowie J.T. przebijał się głos Teagana: „Liczyby nie kłamią”. Mieszanie whisky z tequilą to jednak nie był dobry pomysł, pomyślał. „Jak tak dalej pójdzie, za dwa miesiące zostaniemy bankrutami”.

- Słyszysz mnie pan? - W głosie Rudej, jak zaczął w myślach na-

zywać kobietę, zabrzmiała nuta zniecierpliwienia. – Da pan radę zrobić taki kurs?

Czy da radę? Jasne. Tylko czy powinien? Coś mu tu śmierdziało. Dlaczego wybrała akurat ich? Sądząc z wyglądu, stać ją na lepszego przewoźnika.

Zaraz, zaraz... Czy Teagan nie mówił, że potrzeba cudu, aby utrzymali się na powierzchni? Może właśnie to jest ten cud. Darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– Dam radę, oczywiście – odparł, znużonym wzrokiem patrząc na Rudą. – Ale to będzie sporo kosztowało. Niech pani się nie obrazi, że zapytam, czy... Czy ma pani gotówkę?

Uśmiechnęła się ironicznie, jak gdyby spodziewała się takiego pytania. Otworzyła torebkę i wyjęła plik banknotów.

– Wystarczy?

J.T. otworzył szeroko oczy. Babka trzymała w ręce co najmniej pięć patyków. Wyrwał je i włożył sobie pod pachę.

– Niech pani uważa! Czasy są ciężkie, różni się tu kręca i mogą zobaczyć!

– Jest pan podejrzliwy. To dla mnie nawet dobrze.

– Dobrze? Dlaczego?

– Moja sprawa. Kiedy możemy ruszać?

– Chwileczkę... Muszę znać więcej szczegółów. Nie mogę wystartować i lecieć do Południowej Ameryki, bo jakaś pani machnęła mi forszą przed nosem.

– Nie może pan? Dlaczego?

– Bo nie mogę. Skąd mam wiedzieć, czy pani nie handluje narkotykami i czy nie wdepnę w gówno? Nie mam zamiaru ściągać sobie na głowę policji federalnej.

– Szkoda, bo gdyby pan szybko, sprawnie i po cichu zawiózł mnie na miejsce, dostałby pan jeszcze więcej forsy.

Nie podobał mu się jej ton, ale propozycja stawała się coraz bardziej kusząca.

– Ile?

– Wystarczająco dużo, żeby się opłaciło.

W głowie J.T. znowu odezwał się głos Teagana, tym razem mówiący, by nie pakował się w kłopoty. Ale z drugiej strony zastrzyk gotówki pozwoliłby pokonać rafy i uratowałyby Błękitne Prze-

stworza.

- Kiedy chce pani lecieć?

- Zaraz.

Dopiero teraz zobaczył, że Ruda ma z sobą niewielką walizkę na kółkach.

- Chyba pani żartuje.

- Przeciwnie. - Obejrzała się nerwowo za siebie. - Gdybyśmy mogli wystartować w ciągu najbliższych dziesięciu minut, byłoby cudownie.

Dziesięć minut? A formalności? Poza tym on musi się wysikać i wziąć z lodówki kanapkę z klopsem i keczupem.

- Okej... Może zaczniemy od kilku podstawowych faktów. Pani mi powie, jak się nazywa i dokąd lecimy, potem wyznaczę trasę i załatwię pozwolenie na odbycie lotu.

Ruda zmrużyła zielone oczy. Była coraz bardziej zdenerwowana.

- Nie mamy czasu. Musimy starować już.

- Trudno. W lotnictwie obowiązują sztywne procedury. Mogę stracić licencję...

- Niech pan posłucha... - Dalsze słowa zagłuszył nagły pisk opon. Ruda zaklęła pod nosem. - Nie mamy czasu na dyskusje! Ruszamy!

Czarny samochód mknął prosto na nich. J.T. poczuł się naprawdę nieswojo.

- Co jest, do diabła?

Nie bawiła się w wyjaśnienia, tylko wepchnęła go do kabiny.

- Ruszamy! Już! Oni nie przyjechali wymienić przyjaznego uścisku dłoni! Zaręczam.

Patrząc na samochód, J.T. gotów był jej uwierzyć. Chwycił walizkę, wrzucił ją do kabiny, potem pomógł wsiąść właścicielce.

- Nie znoszę, jak Teagan ma rację - mruknął do siebie. Zapiął pas, zatrzasnął drzwi, uruchomił silnik i ruszył po pasie startowym. Samolot nabierał szybkości, gnany odgłosem wystrzałów. - Strzelają do nas!

- Owszem i jeśli zaraz nie wzniesiemy się w powietrze, zamienią nas w kulę ognistą!

- Kim pani jest? - Wcisnął gaz. - Jeśli uszkodzą mi samolot...

- Przestań pan gadać, tylko skup się na starcie! Jak ujdziemy z życiem, to porozmawiamy.

Przyznał jej rację. Słyszał, jak kule uderzają w kadłub. Oczami wyobraźni widział dziury i dziką furję Teagana.

„Kto go teraz od nas kupi?!”.

Poderwał samolot. Maszyna zaczęła nabierać wysokości. Po chwili, dla niego trwającej wieczność, wznieśli się poza zasięg kul. Dopiero teraz ogarnęła go wściekłość. Gdyby chciał zostać zestrzelony, dalej by służył w siłach powietrznych! Już swoje wyłatał nad terenami objętymi wojną!

- Może mi pani wytłumaczyć, co to było? - zawołał w stronę pasażerki. - Dlaczego oni strzelali? Kim pani jest? W tej walizce są prochy, tak?

- W zasadzie tak. - Jej lakoniczna odpowiedź go zaskoczyła. Spodziewał się raczej wykrętów.

- Jakie? Hera, metamfa, marycha?

- Nic zabronionego. Lekki. Rozczaruję pana, ale to, o co im chodzi, jest całkowicie legalne.

- Mam w to uwierzyć? - zadrwił. - Zmyliła panią moja dziecinną buzia. Widziałem w życiu niejedno i wiem, że aspiryna nie jest warta kulki w łeb. Co jest grane?

- Niech pan posłucha. W dalszym ciągu jestem gotowa zapłacić kupę forsy za dowieszenie mnie do Ameryki Południowej. Tamci zostali na ziemi, więc trzymajmy się kursu.

- Kpi sobie pani? Jakiego kursu? Strzelali do mnie. Ja się w takie rzeczy nie bawię. Słyszysz pani? Nie i już. Ląduję na najbliższym lotnisku, rozumiano? Może pani znajdzie innego frajera. Mnie to już nie interesuje.

- Doprawdy? Z tego, co wiem, Błękitne Przestworza są w poważnych tarapatach. Ten kurs pozwoli wam uniknąć bankructwa.

- Skąd pani ma takie informacje?

Wkurzyło go, że naruszono jego prywatność. Co z tajemnicą bankową?

- Nie żyjemy w próżni. Wystarczy Google i dobrze sformułowane pytanie. Czyżby moje informacje były błędne?

- Nie, ale wtyka pani nos w moje prywatne sprawy.

- Nie mam wrogich zamiarów. Jestem naukowcem i potrzebuję

pańskiej pomocy w dostaniu się do Ameryki Południowej. Może mnie pan tam dowieźć?

- Mogę, ale tego nie zrobię - odparł, wciąż myśląc o dziurach w kadłubie i o tym, skąd weźmie forszę na ich załatwienie.

Musiąca wyczuć jego wahanie, gdyż drążyła dalej.

- Nie mogę powiedzieć, jak ważna jest moja misja. Proszę podać sumę. Zapłacę każde pieniądze. To znaczy moja firma zapłaci. Zależy im na tym, co wiozę.

- Co pani wiezie?

- Żadnych pytań, to część umowy. Bezpieczniej dla pana, jeśli pan nie wie.

- Albo mi pani powie, albo zawracam.

- Pańska firma nie dotrwa do końca miesiąca - odparowała. - Co wtedy? Ma pan szansę odwrócić los, a może nawet rozwinąć skrzydła. Jeśli mnie pan zostawi, firma padnie, bo nie sądzę, żeby znalazł się klient z taką forszą, jaką ja proponuję.

Czy mu się to podobało, czy nie, musiał przyznać, że Ruda ma rację. Czy wczoraj Teagan nie wbijał mu do głowy tego samego?

- O jakich pieniądzach mówimy? - zapytał z ciekawości.

W końcu już znajdują się w powietrzu. Nie taka to fatyga zawieźć ją na miejsce.

- Wystarczy, aby kilka miesięcy, może nawet pół roku, utrzymać się na powierzchni. Moja firma ma bardzo głębokie kieszenie.

Psiakrew. Mocny argument.

- Czyli mam panią tam zawieźć i nie zadawać pytań. To wszystko? Nigdy więcej o pani nie usłyszę i nikt nie będzie mnie ścigał ze spluwą w ręce?

- Właśnie tak.

Nieźle. Może się udać.

Na podjęcie decyzji zostały mu mniej więcej dwie minuty. Na szali leżało być albo nie być Błękitnych Przystanków. Minęli ostatnie czynne lotnisko.

Klamka zapadła.

- Zgoda. Ale muszę znać przynajmniej pani imię i nazwisko. Chyba że woli pani, żebym się do niej zwracał per panusiu.

- W porządku. Doktor Hope Larsen. Miło mi pana poznać, pa-

nie Carmichael.

- Małe sprostowanie. Panem Carmichaelem był mój ojciec. Skoro zna pani stan mojego konta w banku, to może mnie pani nazywać J.T.

Hope kiwnęła głową.

- Niech będzie J.T. Mów do mnie Hope.

- Doktor? To znaczy, że jesteś lekarką?

- Nie. Naukowcem. Mam doktorat z biologii molekularnej.

A niech to! Pamiętała, że zabroniła mu zadawać pytania, ale kto, do diabła, strzela do naukowca? I w co ta ślicznotka się wplątała?

Zgarnij forszę i morda w kubek, odezwał się wewnętrzny głos. Dobra rada, jeśli chce wyjść z tej przygody cało.

Spojrzał na wysokościomierz i zaklął.

- Co się dzieje? - Milczał. - J.T.? Coś nie tak?

- Można to tak ująć - odparł i postukał w zegar w nadziei, że to tylko krótkotrwałe zakłócenie. Nie. Igła ciągle opadała. Omiótł wzrokiem pozostałe zegary.

- O co chodzi?

- Zapnij pas - poleciał przez zęby. - Paliwo się kończy.

- Co?! - Hope szybko zapięła pas. - Gdzie jesteśmy?

- Gdzieś nad Meksykiem.

I daleko od jakiegokolwiek lotniska.

Uśmiechnął się do siebie ironicznie. Po strzelaniu mu się wydawało, że nic gorszego im się nie przytrafi.

Przypomniała mu się złota zasada Murphy'ego: Jeśli coś może się nie udać - nie uda się na pewno.

- Zaczekaj! Chyba żartujesz. Paliwo się kończy? - Hope nie zdołała opanować paniki. - Zrób coś! - zawołała.

- Jestem otwarty na sugestie, laleczko, ale jeśli nie wymyślisz sposobu, jak załatać dziurę w zbiorniku paliwa, sprawa jest przesądzona.

Krople potu wystąpiły jej na czoło. Palce zacisnęła na siedzeniu fotela.

- Jakie mamy szanse przeżycia katastrofy?

- Nie odpowiem.



Hope zamknęła oczy. Żałowała, że jest ateistką. Pomyślała o swoim bagażu i jego zawartości i wpadła w jeszcze większą panikę. Samolot w szybkim tempie zbliżał się do ziemi.

- Obiecuj, że jeśli zginę, zawieziesz walizkę do Tessara Pharmaceuticals. Nie pozwól jej sobie odebrać. Obiecuj!

- Co ty wygadujesz, kobieto! - wrzasnęła. - Usiłuję bezpiecznie wylądować, a ty dyktujesz mi ostatnią wolę? Wiesz, że w samolocie, który zaraz może stanąć w płomieniach, rozmowa o śmierci przynosi nieszczęście? Zamknij się i nie przeszkadzaj mi nas ratować!

Hope nie należała do osób, które łatwo przestraszyć, lecz siedząc w metalowej trumnie spadającej na ziemię, trudno było zachować spokój! Błękitne Przewroza wybrała świadomie i liczyła się z ryzykiem.

Dlaczego nie zdecydowała się na pierwszą klasę?

- Nie chcę umierać, nie chcę umierać... O Boże! Błagam, zrób coś...

- Przygotuj się. Będzie nieprzyjemnie!

Wierzchołki drzew drapały podbrzusze kadłuba. Metal giął się i trzeszczał, gałęzie pękały, liście fruwały, przerażone ptaki wzbiły się w powietrze.

Samolot przechylił się, skrzydłem skosił jedno drzewo, nosem rozbił pień innego w drzazgi i zarył w ziemię.

Potem zapadła ciemność.

Hope poruszyła się, podniosła rękę i dotknęła głowy. Pod palcami poczuła kleistą lepkość, zaraz potem w nozdrza uderzył ją miedziany zapach krwi.

Żyję, pomyślała. To cud.

Odpięła pas i spojrzała na J.T. Leżał na sterach nieruchomo. Ostrożnie przyłożyła mu dłoń do szyi. Jęknął, lecz się nie ocknął. Delikatnie podniosła mu głowę i poklepała po twarzy. Wiedziała, że nie powinna go ruszać, lecz nie było chwili do stracenia. Kabinę wypełniały opary paliwa. Zaraz maszyna stanie w płomieniach.

Hope odpięła pas J.T.

- Musimy wydostać się z wraku. Zbiornik paliwa przecieka.

Musimy uciekać. Ocknij się!

Trochę mocniej uderzyła go w policzek. J.T. jęknął i uniósł powieki.

- Co, do diabła...

- Rozbiliśmy się. Żyjemy, ale musimy się stąd ewakuować! - Wyminęła go i szarpnięciem otworzyła drzwi. Osaczyła ją tropikalna wilgoć i tajemnicze odgłosy dżungli.

Z walizką w ręce skoczyła na poszycie. Wysoki obcas jednego z pantofli złamał się i omal nie skręciła nogi.

- To jednak był głupi pomysł - mruknęła pod nosem. Szybko wyjęła z walizki buty do biegania, które zawsze wozila z sobą. Sama walizka zaś na szczęście miała szelki, które zmieniały ją w plecak.

Tymczasem J.T. zdołał wydostać się z fotela, doczołgać do drzwi i zeskoczyć. Z jękiem padł u stóp Hope.

- Chyba złamałem sobie zebro - jęknął.

Usiłował wstać, lecz zachwiał się na nogach. Błyskawicznie wsunęła się mu pod pachę i go objęła.

- Tylko mi nie zemdlej - ostrzegła, lecz J.T. zawisł na niej jak worek ziemniaków. Nie zdołała go utrzymać.

Otarła pot i krew z czoła, chwyciła go za ręce i zaczęła ciągnąć. Byle jak najdalej od wraku. Gdy uznała, że znajdują się w bezpiecznej odległości, puściła go i ciężko dysząc, usiadła na ziemi.

W porządku, co teraz?

Znajdowała się w środku meksykańskiej dżungli z nieprzytomnym pilotem i nie miała pojęcia, jak się stąd wydostać i jak dotrzeć na miejsce przeznaczenia.

Ogarnęło ją dojmujące poczucie bezradności i chociaż nie należała do kobiet, które płaczą, uznała, że kilka łez dobrze jej zrobi, bo nie oszukujmy się...

Sytuacja wygląda na beznadziejną.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Obudził się z bólem głowy gorszym od najgorszego kaca. Gdybym miał pod ręką młotek, chyba rozbiłbym sobie łeb, byle tylko skrócić te męki, pomyślał i nagle przypomniał sobie, że przecież miał niewiarygodne szczęście – żyje.

Z trudem otworzył oczy. Zamazane kontury powoli nabierały ostrości. Długonoga pani naukowiec leżała skulona obok niego na posłaniu z liści, które na pewno nie on nazgarniał.

Ostrożnie dotknął czoła i wymacał guz wielkości gęsiego jaja. Widocznie walnął głową w tablicę sterowniczą. W najlepszym wypadku to wstrząśnienie mózgu. To dlatego film mu się urwał?

Hope również się obudziła. Usiadła, przetarła oczy i ziewnęła.

- Bogu dzięki – szepnęła i przyłożyła dłoń do piersi. Jej szykowna beżowa bluzka była poszarpana i podarta. - Bałam się, że umrzesz.

- Och, kobieto małej wiary... - mruknął. Gdy spróbował usiąść, świat zawirował mu przed oczami. - Złego diabli tak łatwo nie wezmą. Wierz mi, już próbowali.

- Cóż, twardzielu, nie ulega wątpliwości, że doznałeś wstrząsu mózgu i gdyby doszło do obrzęku, nic nie mogłabym zrobić.

- Ale na szczęście się obudziłem. - Rozejrzał się, chcąc ocenić sytuację. Ze wszystkich stron otaczał ich zielony gąszcz. Cudownie, pomyślał. Są gdzieś w środku meksykańskiej dżungli. Wstał, krzywiąc się z bólu. - Dawno nie lądowałem w taki zasrany sposób.

- Zdarzały ci się podobne przygody? - Hope również wstała. Otrzepała i wygładziła tył spódnicy, jak gdyby w tych okolicznościach to miało znaczenie. - Trzeba mnie było uprzedzić, zanim cię wynajęłam.

- Spokojnie. To było dawno temu. W innym życiu. - Znowu się rozejrzał, szukając jakiejś wskazówki, która pomogłaby mu określić położenie. Na horyzoncie zaczęły się gromadzić burzowe

chmury, które zasłoniły słońce. – Rozumiem, że samolot nie wybuchł.

– Nie. Ale bałam się tego, więc cię odciągnęłam.

Aha, jakiś ludzki odruch.

– Dzięki. Jestem twoim dłużnikiem.

– Nasza umowa nadal obowiązuje – przypomniała mu. – Muszę się dostać do Ameryki Południowej i pan mnie tam dowiezie, panie Carmichael.

– Ciekawe jak. Na plecach, machając rękami? Po pierwsze musimy wydostać się z tej dżungli, a to wcale nie będzie takie proste. Dopiero potem może uda nam się znaleźć samolot, który dowiezie szanowną panią do Timbaktu. Aha, już mówiłem, pan Carmichael to mój ojciec. Ja jestem J.T. Zrozumiano?

– Owszem, J.T. Posłuchaj, ja widzę to tak: potrzebujemy siebie, żeby się stąd wydostać, więc proponuję, abyśmy zaczęli współpracować, zamiast się kłócić. – Wyprostowała ramiona i poprawiła poszarpane rękawy bluzki. – Orientujesz się w przybliżeniu, gdzie jesteśmy?

– Pewnie to Dżungla Lakandońska, południe Jukatenu. – Zaciął usta, zmrużył oczy i popatrzył w niebo. – Jeśli moje domysły się sprawdzą, to będzie najgorszy pech z możliwych.

– Dlaczego?

– Bo są tylko dwa scenariusze: albo wpadniemy w ręce meksykańskich rebeliantów, którzy w dżungli nielegalnie uprawiają tytoń, kokę i co tam jeszcze, albo natkniemy się na lakandońskich Majów, którzy żyją w izolacji od świata i nie lubią obcych. Osobiście posądzam ich o kanibalizm, ale nikomu tego nie powtarzaj.

– Nie brzmi to zachęcająco – mruknęła posępnie Hope.

A ponieważ J.T. nie uznawał lukrowania rzeczywistości, ciągnął:

– Nie wspominałem jeszcze o insektach, węzach i drapieżnikach, które są gospodarzami na tym terenie.

Hope zbladła.

– Nie lubię węży.

– Ja też nie, ale tak się złożyło, że wylądowaliśmy w miejscu, gdzie diabeł mówi dobranoc, czyli w meksykańskich lasach deszczowych. Niektórzy nazywają te okolice szatańskim miejscem.

- Dobrze. Więc co robimy?
- Spróbujemy przeżyć.
- Jasne. Są tu drogi? Musi być przecież jakiś sposób dotarcia do cywilizacji. Nie wylądowaliśmy na niezamieszkanym planecie. Pójdziemy wzdłuż rzeki i w końcu gdzieś nas ona zaprowadzi.
- Tak, na skraj urwiska - prychnął z sarkazmem. - Samolot nie eksplodował, więc pójdę tam, znajdę race, kompas i mapy i jakoś ogarniemy sytuację.
- Idę z tobą.
- Nie. Zostaniesz tutaj, paniusiu.
- Przestań mnie tak nazywać - zirytowała się. - Jeszcze raz, a zacznę zwracać się do ciebie per panie Carmichael, bo tego nie lubisz. Radzę więc uważać, co mówisz.
- Twarda sztuka z ciebie, ee... Hope. I lubisz dyrygować.
- Dziękuję za komplement.
- Idziemy.
- Powiedz, dlaczego nie lubisz, kiedy nazywa się ciebie panem Carmichaelem? - zapytała po drodze. - Miałeś nie najlepsze stosunki z ojcem?
- J.T. odsunął grubą gałąź i przytrzymał.
- Można to tak określić. Mieliśmy różne zdanie w bardzo wielu kwestiach. Uważał mnie za wyszczekanego smarkacza i chuligana, który nie ma szacunku dla starszych, a ja jego za despotę.
- Byłeś wyszczekany smarkaczem i chuliganem?
- Bywałem.
- Może on nie tyle był despotą, ale odpowiedzialnym ojcem starającym się zawrócić syna ze złej drogi?
- A może był cichym alkoholikiem wykorzystującym kobiety, które w sobie rozkochał? Nieważne. Dla mnie umarł i nie będę dłużej się nad tym rozwodził.
- Przepraszam. Nie chciałam cię dotknąć.
- Dotknąć? Raczej nadepnąć.
- Wiesz, w tym krótkim czasie, jaki upłynął, odkąd cię znam, strzelano do mnie, mój samolot się rozbił, a teraz zacząłem mówić o facecie, którego ostatni raz widziałem osiem lat temu. Można powiedzieć, że przynosisz pecha.
- Hope wydeła usta z pogardą.

- Nie wierzę w takie zabobony jak pech czy fart.

- I tu się mylisz. Żyję, bo miałem farta. I teraz też nam się udało, bo się urodziłem pod szczęśliwą gwiazdą. Normalnie z samolotu zostałaby kupa żelastwa, a z nas mokra plama.

Gdy dotarli do małej polanki, na której rozbił się samolot, i zobaczyli, co z niego zostało, J.T. jęknął.

- Kupię ci nowy - szybko obiecała Hope.

J.T. spojrział na nią z powątpiewaniem.

- Mówiłam, że moja firma ma głębokie kieszenie. Dowiedz mnie do Ameryki Południowej, a będziesz mógł dopisać do rachunku cenę nowej maszyny.

- Co to za firma? Pracujesz dla Pentagonu?

Hope uśmiechnęła się tajemniczo, lecz nie potwierdziła ani nie zaprzeczyła.

- Race - przypomniała.

J.T. pomyślał, że im dłużej z nią przebywa, tym mniej o niej wie. Miał przeczucie, że już tak pozostanie.

Daj spokój, skup się na obiecanej nagrodzie, odezwał się głos rozsądku. Na razie pragnął tylko jednego - wyjść z tej dżungli żywy.

Podczas gdy on zbierał swoje rzeczy, Hope otworzyła plecak i wyjęła batony proteinowe, które zabrała jako suchy prowiant. Przy okazji znalazła też komórkę, lecz, jak należało się spodziewać, w dżungli brakowało zasięgu. Miała jednak nadzieję, że gdy nie zjawi się w wyznaczonym czasie w wyznaczonym miejscu, koledzy namierzą jej lokalizację za pomocą GPS-a.

J.T. wyskoczył z kabiny z wojskowym plecakiem.

- Nie spodziewałem się, że mi się kiedykolwiek przyda, ale Bóg Teagan wymógł na mnie, żebym go z sobą woził. Tabletki do uzdatniania wody pitnej nas uratują. Nawet nie masz pojęcia, jakie bakterie pływają w tutejszej wodzie.

- Jestem biologiem molekularnym. Niewykluczone, że wiem więcej o mikrobach i bakteriach od ciebie - odparowała z enigmatycznym uśmiechem, który zaczynał działać J.T. na nerwy, ale jednocześnie wydawał mu się pociągający. Hope była najładniejszą z panien przemądrzalskich, jakie spotkał. - Co jeszcze

tam masz? Ja mam batony proteinowe, więc na razie możemy oszukać głód.

- Niech będą batony. - Przed oczami stanęła mu kanapka z klopsem i keczupem, której nie zdążył wziąć z lodówki. - Mam tu plandekę i sznur, który się przyda, jeśli... - Urwał, gdyż z nieba lunął deszcz. Zanim zdążyli schować się w kabinie samolotu, przemokli do nitki. J.T. spojrzął na minę Hope i wybuchnął śmiechem. - Wyglądasz jak zmokła kura.

Hope zdjęła okulary i ręką otarła twarz.

- Nazwałeś to miejsce szatańskim.

- Uhm.

- Pasuje.

Krople deszczu bębniły o blachę niczym grad kul, niebo przecięła błyskawica, dżunglą wstrząsnął grzmot. Hope wyjęła batony, jeden wręczyła J.T., drugi zostawiła sobie. J.T. przełamał swój na pół.

- Powinniśmy oszczędzać, żeby na dłużej starczyło. Nie wiemy, jak długo będziemy tkwić w dżungli.

- Słusznie. - Hope wzięła od niego połówkę batonu, a swój włożyła do plecaka. Tymczasem J.T. prawie położył się jej na brzuchu i sięgnął po coś schowanego za jej plecami. - Hej! Co ty wyprawiasz? - zaprotestowała.

Nie lubiła, gdy naruszano jej prywatną przestrzeń.

- Warto skorzystać z tej pompy i złapać trochę deszczówki - wyjaśnił.

Podniósł w górę kanister. Z kawałka drutu znalezionej w skrzynce z narzędziami zrobił haczyk i po kilku minutach w prowizorycznym wiaderku już zbierała się cenna woda.

- Tej wody nie trzeba filtrować - wyjaśnił. - Oszczędzimy tabletki.

- Racja - mruknęła Hope i poprawiła się w fotelu.

Zła była na siebie za swoją reakcję na dotyk J.T. To nie był moment, by się podniecać bliskością faceta o atrakcyjnych rysach twarzy i szczupłych biodrach. Kawałek batonu utknął jej w gardle. Zakaszła.

- Popij. - Wciągnął do środka kanister z deszczówką i jej podał.

- Dzięki.

Hope wypila wodę do dna i oddala kanister. J.T. znowu wywiesil go na zewnatrz.

- Wyglada na to, ze spedzimy tu troche czasu - zauwazyl. - Opowiedz mi, dlaczego do ciebie strzelali.

- Juz ci mowilam, lepiej, zebyś nie wiedzial za duzo.

- Zazwyczaj nie kusze losu dopytywaniem sie, co jeszcze gorszego moze mi sie przytrafic, ale skoro juz sie przytrafilo cholernie duzo megafantastycznych przygod, to mozesz mi zdradzic, przed czym i przed kim uciekasz.

- Przed niczym i przed nikim nie uciekam - odparla. - Juz ci mowilam, pracuje dla firmy farmaceutycznej.

- Kiedy ostatni raz sprawdzalem, firmy farmaceutyczne nie oferowaly bajoriskich sum za ratowanie pracownikow przed kulami. Opowiedz mi prawdziwa historie.

Prawdziwa historie? W plecaku, w specjalnym pojemniku, wiezie chyba najgrozniejszego znanego wirusa i jezeli nie dotrze na czas na miejsce, do laboratorium, to... No coz, to moze wybuchnac pandemia apokaliptycznych rozmiarow.

A jezeli wirus dostanie sie w niepowolane rece...

Az sie wzdrygnela na mysl o tym.

Tak, strzelali do niej ludzie, ktorzy bardzo by chcieli dysponowac bronia biologiczna o takiej sile razenia.

- Nie chce o tym mowic. - Jej oczy wypelnily sie lzami.

Szefowa Hope, Tanya Fields, nie zyje. Policja uznala jej smierc za wynik strzelaniny podczas napadu rabunkowego na ulicy. Kobieta sie opierala, napastnikowi pusciły nerwy. Gdy jednak Hope stwierdzila, ze tej samej nocy wlamano sie do jej mieszkania, wziala nogi za pas.

Tanya podejrzewala, ze ktos z grona pracownikow Tessara Pharmaceuticals sprzedal tajne informacje o wirusie, dlatego kazala Hope zawiezć szczep do laboratorium w Ameryce Poludniowej i go zniszczyc.

- Hej, odlecialas? - zapytal J.T.

Pokręcila glowa.

- Nie chce o tym mowic - powtorzyla. - Uszanuj to.

Nie miala pretensji, ze sie dopytuje, lecz nie chciala, aby kolejna osoba zginela z powodu wirusa. Szczegolnie nie J.T. W innych



okolicznościach...

Przestań, nakazała sobie w duchu.

Nie spotykała się z mężczyznami. Rozmowa o niczym podczas pierwszej randki zawsze była dla niej udręką.

- Przepraszam - odezwała się ponownie. - Nie chciałam być nieuprzejma. Po prostu lepiej...

- Żebyś nie wsadzał nosa w nie swoje sprawy, tak? - Hope kiwnęła głową. - Cóż, zazwyczaj tego nie robię, ale okoliczności są nietypowe. Skoro do mnie strzelają, to chciałbym wiedzieć dlaczego.

Kłopot polegał na tym, że miała coraz większą ochotę opowiedzieć mu wszystko, by wiedział, co mu grozi i o jaką stawkę toczy się gra, lecz czuła, że to by było wobec niego nie fair. Ta sprawa to jej brzemię. Przyczyniła się do stworzenia wirusa, teraz musi go zniszczyć.

Westchnęła i odwróciła głowę do okna. Przez brudną szybę patrzyła na strumienie deszczu.

- Dowieź mnie na miejsce i nie będziesz musiał mnie więcej oglądać.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Deszcz padał prawie całe popołudnie, więc mogli odespać zaległości, nie bojąc się ani węży, ani wielkich kotów, które mogłyby potraktować ich jako przekąskę.

J.T. wiedział jednak, że muszą się ruszyć. Denerwował się, że rebelianci ich wysłędzą. Gdy Hope jeszcze spała, sprawdził, czy uda mu się uruchomić radio, lecz nadzieja okazała się płonna. Nadajnik oczywiście padł.

Hope poruszyła się we śnie, lecz się nie obudziła. Okulary zsunęły jej się na koniec nosa, a włosy wymknęły spod elastycznej opaski. W podartej bluzce i spódnicy w strzępach wyglądała jak obraz nędzy i rozpaczy.

Bardzo pociągający obraz nędzy i rozpaczy.

Ale sobie wybrałaś moment na myśli o seksie, J.T. Skarcił się za to w duchu, lecz ciało nie słuchało. Czuł, jak ogarnia go podniecenie i atawistyczne pożądanie.

Zaburczało mu w żołądku. Minęło sporo czasu, odkąd zjedli po połowie batonika. Najważniejsze to wydostać się stąd, pomyślał. Pytanie tylko jak.

Natychmiast odezwał się w nim pilot wojskowy. J.T. wyjął mapę i kompas. Nigdy nie był tak daleko na południe – do Meksyku wyskakiwał raczej w celach rozrywkowych – lecz na tyle się orientował w topografii, by wiedzieć, że jeśli znajdują się gdzieś blisko granicy z Gwatemalą, to w ciągu około pięciu godzin uda im się wynająć mały samolot i dolecieć do Brazylii.

Pierwsze i najważniejsze zadanie: wydostać się z dżungli.

Drugie: znaleźć zaufanego człowieka, który skombinuje ten samolot.

Trzecie: wznieść się w powietrze, zanim owi tajemniczy strzelcy wyborowi, którzy podziurawili im zbiornik paliwa, dokończą dzieła.

Co takiego, u diabła, Hope wiezie, że jakieś zbiry gotowe są

ich zabić, aby dostać to coś w swoje łapska? To pytanie nie dawało mu spokoju.

Zerknął na plecak u stóp śpiącej Hope.

Może zajrzeć? Chyba ma prawo wiedzieć, dla czego naraża życie? W głowie zabrzmiał mu karcący głos Teagana pouczający o zakazie naruszania prywatności, lecz go zignorował. Czasami warto zaryzykować. Jednak gdy wyciągnął rękę w kierunku plecaka, powieki Hope drgnęły.

- Długo spałam? - zapytała, poprawiając się w fotelu i ziewając. - Pada jeszcze? Długo taka ulewa może potrwać?

- To lasy deszczowe, dziecino - odparł. - Tutaj pada przez kilka dni.

- Musimy się stąd wydostać - oświadczyła. - Trudno. Pójdziemy przed siebie.

- Za duże ryzyko. Poczekajmy, aż minie burza. Poza tym zaraz zapadnie noc. Chyba nie zamierzasz wędrować po dżungli w kompletnych ciemnościach.

Hope ustąpiła wobec tego nieodpartego argumentu. Przygryzła wargę, umknęła wzrokiem w bok. J.T. domyślił się, że ma inny palący problem.

- Chcesz się wysikać?

- Uhm - mruknęła. - Co z węzami, jaguarami i wszystkimi innymi stworami?

- Mogę stanąć na straży - zaproponował.

Hope posłała mu gniewne spojrzenie. Uniósł obie dłonie gestem poddania się.

- Hej, chciałem tylko pomóc.

Hope wstała, wyskoczyła z kabiny i zniknęła w krzakach. Po chwili wróciła. Bluzka kleiła jej się do skóry. Potrząsnęła mokrymi włosami i z jękiem opadła na fotel.

- Nie mogę tu tkwić przez kolejne dziesięć godzin, bo zwariuję. Przywykłam do ciągłej bieganiny. Siedzenie tutaj to dla mnie tortury.

A dla mnie torturą jest patrzeć na twoje ciało, pomyślał.

- Spróbuj się odprężyć - poradził. - Nie możemy nigdzie pójść, więc nie traćmy energii. - Przymknął oczy.

Podczas służby w lotnictwie wojskowym nauczył się wyłączać

umysł i wykorzystywać nawet krótkie chwile na drzemkę i regenerację sił.

- Bezczynność jest obca mojej naturze.
- To pomyśl, że zdobywasz nowe doświadczenia.
- Ciebie nic nie wyprowadza z równowagi?

J.T. otworzył oczy i przyjrzał się jej uważnie.

- Wyprowadza - odrzekł. - Teraz nie daje mi spokoju myśl o kanapce z klopsem i keczupem, która została w lodówce, bo nie zdążyłem po nią wrócić.

- Dopiszę ją do rachunku.

- Dobrze. - Chwilę milczeli, lecz atmosfera stawała się coraz bardziej napięta. - Zakładam, że kiedy ty szlajasz się po bezdrożach Meksyku, w domu nie czeka na ciebie żaden Larsen?

Hope zaśmiała się nerwowo.

- Nie mam męża. Ale gdybym miała, na pewno wspierałby mnie w pracy i rozumiał konieczność szlajania się po bezdrożach, jak się wyraziłeś. Większość światłych mężczyzn wspiera żony w aspiracjach zawodowych. Błagam, nie mów mi, że należysz do tych facetów, którzy uważają, że miejsce kobiety jest w kuchni.

- Oczywiście, że nie należę. Wspieram kobiety, które płacą rachunek za kolację. Dla mojego portfela to lepiej.

Hope skrzywiła się.

- Nie o to mi chodziło.

- Aha, chcesz, żeby facet bulił za kolację, ale już broń Boże nie otwierał ci drzwi, bo przecież jesteś niezależna i samodzielna, tak?

- Nonsens - prychnęła. - Istnieje różnica między męską galanterią a męskim szowinizmem.

- Posłuchaj, jestem za równością płci. Kobiety należały do najlepszych pilotów, jakich znałem. Niemniej nie ma nic złego w kulturowaniu pewnych tradycyjnych ról. Miło jest, kiedy babka ugotuje swojemu facetowi coś dobrego. Znasz to powiedzenie, że droga do serca mężczyzny prowadzi przez żołądek?

- Znam, ale mam pecha. W kuchni jestem antytalentem.

- Nie mów...

- To prawda. Potrafię podgrzać gotowe danie, ale jem poważnie w pracy. Robią znośne cheeseburgery.

J.T. wykrzywił usta.

- Brzmi to mało zachęcająco.

- Jedzenie to tylko paliwo.

- Nieprawda. Dobre jedzenie to orgazm dla podniebienia.

Hope zachłysnęła się powietrzem. Twarz jej zrobiła się czerwona.

- Nie podzielam tej opinii. I nie mam czasu na... na ekstatyczne doświadczenia kulinarne.

- Szkoda - odparł. Zaróżowione policzki dodawały Hope seksapilu. - Nie wiesz, co tracisz.

Tymczasem burza ustała, lecz w dalszym ciągu mżyło. Odgłosy nocnego życia dżungli wzmożyły się. Nagle rozległo się rozdzierające wycie przechodzące w pisk. Hope omal nie wyskoczyła z fotela.

- Prawdopodobnie to wyjec - wyjaśnił. - Niegroźny, chociaż hałaśliwy.

Dla bezpieczeństwa wciągnął jednak kanister z deszczówką do środka i zamknął drzwi kabiny.

Wypił kilka łyków wody, podał kanister Hope.

- Zaśniesz? - zapytała.

- Dobry pomysł.

- W porządku.

Mieli szczęście, że przy zderzeniu z ziemią kabina mało ucierpiała.

- Ty też postaraj się zasnąć - poradził. - Jutro czeka nas potworny dzień.

- Miła perspektywa.

J.T. zamknął oczy. Nawet nie wiesz, jak bardzo miła, pomyślał.

Następnego dnia rano Hope obudziła się z pełnym pęcherzem. Udało jej się wydostać z fotela, ominąć śpiącego z otwartymi ustami i lekko pochrapującego J.T., wyskoczyć z kabiny i kucnąć w krzakach.

Kiedy wracała, zobaczyła, jak J.T. sika tuż przy samolocie i nawet nie zadał sobie trudu, by się schować.

Naprawdę nie powinna się gapić, ale miał ciało, które przyciągało kobiece oko.

- Przepraszam, liczyłem, że skończę, zanim wrócisz - odezwał się i spokojnie zapiął spodnie. - Śmiało, nic ci nie grozi. Pamiętam, co mówiłaś o węzłach.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Bardzo zabawne. Póki twój wąż nie gryzie, nie mam się czego bać.

J.T. prychnął i potarł nieogolony podbródek.

- Przynajmniej przestało padać. Trzeba to docenić.

Prawda. Hope chciała jak najprędzej wyruszyć, ale wiedziała, że droga nie będzie łatwa.

- Masz rację. Zjedźmy nasze racje i chodźmy. - Wyjęła z plecaka ostatni baton i przełamała go. - *Bon appétit.*

Nagle nad głowami usłyszeli szum silnika. Hope zaczęła natychmiast wymachiwać rękami, chcąc zwrócić uwagę pilota, lecz J.T., ryknął:

- Padnij!

Rzucił się na nią i przygniótł do ziemi.

- Co robisz? - zaprotestowała. - Oni mogli nas uratować!

- Gwarantuję, że to nie pogotowie lotnicze - warknął. - Pamiętasz, co mówiłem o rebeliantach? Używają ultralekkich samolotów do patrolowania terytorium, takich jak ta cesna. Niewykluczone, że spostrzegli wrak. Zaraz wrócą, żeby mu się przyjrzeć. Musimy zwiewać. Już.

Hope ciarki przeszły po plecach.

- A jeśli mnie widzieli?

- Lepiej nie czekać, żeby się o tym przekonać.

Warkot silnika zbliżającego się samolotu poderwał ich na nogi. Rzucili się pędem w zarośla. Potykali się o wystające korzenie, gałęzie były ich po twarzach. Zatrzymali się dopiero, gdy już nie słyszeli cesny. Zapędzili się jednak tak daleko w głąb dżungli, że teraz Hope bała się, iż wpadli z deszczu pod rynnę.

Stanęli, ciężko dysząc.

- Widzieli nas? - zapytała.

- Trudno powiedzieć. - Wziął głęboki oddech. - Nie możemy się zatrzymywać.

- Ale nawet nie wiemy, dokąd idziemy!

- Trzymajmy się rzeki. Przynajmniej będziemy mieli dostęp do

wody pitnej.

- Przecież mówiłeś, że dotrzemy do krawędzi urwiska.

- Będziemy uważać - zapewnił ją z uśmiechem dodającym otuchy.

Wszystko będzie dobrze, pomyślała. O ile nie zostaniemy pożarci. Albo zastrzeleni.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Torował drogę przez gąszcz. Ziemia pod stopami była grząska, błotnista, komary bzycały koło uszu. Zanim dotarli do rzeki, byli spoceni i głodni.

- Mój żołądek domaga się o swoje prawa - poskarżyła się Hope.

- Mój też - odparł J.T.

Rozejrzał się dookoła. Wiedział, że Dżungla Lakandońska obfituje w jadalne owoce, bulwy i liście, lecz bał się ryzykować i brać do ust nieznane rośliny.

Hope natomiast była pewniejsza swojej wiedzy.

- Och! - wykrzyknęła, wyminęła J.T. i przykucnęła obok bujnego krzaka, który na pierwszy rzut oka wyglądał jak wszystkie inne. Po chwili wstała z garścią zielonych strąków. - Są jadalne - oświadczyła, otworzyła jeden i wyłuskała nasiona.

J.T. przyglądał się temu ze sceptycyzmem.

- Jesteś pewna? Wolałbym nie dostać halucynacji.

- Nie ma obawy. Są bezpieczne. - Wrzuciła kilka ziaren do ust, rozgryzła i skrzywiła się. - Chociaż niezbyt smaczne.

Poszedł za jej przykładem.

- Dziwne... Nie słodkie, trochę kwaśne. Chropowate.

Hope kiwnęła głową.

- Lepsze to niż nic. Powinniśmy zjeść jeszcze kilka.

- Mam wątpliwości, czy nie wolę głodować, ale posłucham cię. - Wrzucił do ust zielone ziarna, szybko pogryzł i połknął. Potem wyjął kanister z wodą, wypił kilka łyków, podał kanister Hope i rozejrzał się. - Ta rzeka to chyba Lacanjá. Jeśli pójdziemy z jej biegiem, prędzej czy później dotrzemy do jakiejś wioski i złapiemy podwózkę do większego miasta bliżej Gwatemali albo Belize. Tam już będzie łatwo o samolot.

- A jeśli to nie jest Lacanjá, tylko jakiś dopływ i pójdziemy w głąb dżungli?



- Miejmy nadzieję, że tak się nie stanie.
- Nadzieja jest matką głupich.
- Nie musisz mi mówić.

Ruszyli brzegiem, lecz nie uszli daleko. Teren stawał się niedostępny, grząski, śliski, i często wpadali do wody.

- Może popłynemy z prądem? - zaproponowała Hope. - Albo poszukajmy innej drogi.

- Nurt jest wartki. Wolałbym nie ryzykować, jeśli nie musimy - odparł.

Przyznała mu rację, a gdy zawracali, usłyszeli głosy. Jacyś ludzie mówiący po hiszpańsku szybko się zbliżali.

- Co robimy? - zapytała przerażona Hope. - Zaraz nas zobaczą!

Błyskawicznie ocenił sytuację. Mieli do wyboru albo zostać na miejscu i od razu zginąć, albo skoczyć do wody i prawdopodobnie utonąć.

- Skaczemy! - krzyknął równocześnie z wystrzałem.

Skoczyli na nogi. Wartki prąd ich porwał i rozdzielił.

- J.T.! - rozpaczliwie zawołała Hope i zniknęła pod wodą.

Zdołał podплыnąć, chwycić ją za rękę i przyciągnąć do siebie.

- Trzymaj się mnie! - Prąd niósł ich coraz szybciej. J.T. spojrzał przed siebie i zaklął. Wodospad. Tylko sekundy dzieliły ich od najgorszego. - Nogami do przodu! - krzyknął. - Może nie uderzymy o skały!

- Skały?! O Boże!!!

Tylko cud mógł ich uratować.

J.T. obawiał się jednak, że wyczerpali przysługujący im kontyngent cudów.

Hope chwytiała ustami powietrze. Krople z wodospadu padały jej na twarz. J.T. nigdzie nie było widać.

Boże, ocal go, zaczęła się modlić w duchu.

- J.T.! - krzyknęła. - J.T.!

Wytknął głowę z wody, a ona omal nie popłakała się ze szczęścia. Podплыnęła prosto w jego rozpostarte ramiona. Objął ją mocno.

- Nic ci nie jest?

Kiwnęła głową.

- Żyjesz. - Miała łzy w oczach. - Myślałam, że już nie wypłyniesz.

- Więcej ważę, głębiej spadłem, dłużej się wynurzałem.

- Tak się bałam... - Odgarnęła włosy z twarzy. - Byłam pewna, że oboje zginiemy.

- Ale nie zginęliśmy - odrzekł ze słabym uśmiechem. Nie wypuszczał jej z objęć, a jej było bardzo dobrze w jego ramionach. Więcej niż bardzo.

Czy jest w tym coś złego? Oczywiście.

- Cieszę się, że nie utonąłeś - rzekła i niechętnie odsunęła się od niego, zanim popełni jakieś niewybaczalne głupstwo.

- Ja też się cieszę - mruknął.

Podpłynęli do brzegu i wspięli się na skały. Hope rozejrzała się dokoła.

- Widok jak z pocztówki - stwierdziła, patrząc na staw pod wodospadem. Lecz gdy spojrzała na sam wodospad, aż się wzdrygnęła, widząc jego rozmiary. - Nigdy więcej - mruknęła pod nosem.

J.T. zmrużył oczy i również spojrzał na wodospad.

- Przypomniał mi się skok na bangee z mostu Royal Gorge w Kolorado. To dopiero był zastrzyk adrenaliny!

- Tamci do nas strzelali. - Hope aż się wzdrygnęła. - Gdybyśmy nie skoczyli...

- Lepiej nie myśleć, co by było - odparł. - Szczególnie że udało się nam ujść z życiem.

- Racja. Dobrze się sprawdzasz w kryzysowych sytuacjach.

- A ty je ściągasz. - Posłał jej seksowny uśmiech. - Świetnie się składa, że to w tobie lubię. - Spojrzał wymownie na plecak Hope.

- Twój cenny bagaż również nie ucierpiał - zauważył.

Hope sprawdziła plecak i odetchnęła z ulgą. Pojemnik z niebezpieczną zawartością był nietknięty.

- Wiesz, że z takim balastem mogłaś pójść na dno? - zapytał. - Co masz takiego cennego, że ryzykujesz życie?

Zmusiła się do uśmiechu.

- Pamiętasz naszą umowę? Żadnych pytań.

On jednak nie żartował.

- To było, zanim do mnie strzelano, zanim mój samolot się rozbił i zanim nurt rzeki zniósł mnie do wodospadu. Co ty, do diabła, wiesz?

Zaryzykuj, powiedz mu, kusił wewnętrzny głos, lecz nie uległa jego podszeptom. Włożyła plecak na ramiona i uśmiechnęła się promiennie.

- Lepiej dla ciebie, jak nie wiesz. Ruszamy? Szkoda dnia.

- Ale z ciebie uparta sztuka.

- Znasz to powiedzenie: grzeczne dziewczynki rzadko przechodzą do historii - odparowała.

Wciąż walczyła z pokusą, aby zdradzić J.T. tajemnicę pojemnika. Zwyciężyło jednak poczucie obowiązku: Wykonaj zadanie! Dostarcz pojemnik do laboratorium! Nieważne, co seksowny pilot o tobie sądzi.

- Masz rację, jestem uparta. To jedna z moich zalet. - Spojrzenie J.T. prześliznęło się po niej, na jedno mgnienie zatrzymało się na piersiach. Hope dopiero teraz spostrzegła, że jej mokra bluzka zrobiła się przezroczysta. - Och! Nie zdawałam sobie sprawy...

- W życiu bym nie podejrzewał, że włożysz stanik w czerwone serduszka. - Starał się żartem rozładować napięcie.

- Dlaczego nie? - Roześmiała się. Czy byłby równie zaskoczony, gdyby wiedział, że do kompletu ma na sobie figi w serduszka?

- Uważasz, że kobieta naukowiec nie chce być elegancka i zalotna?

- Nie wiem, nie zadaję się z eleganckimi kobietami.

Chciała się z nim jeszcze podroczyć, lecz nagle kątem oka ujrziała coś, co ją bardzo ucieszyło. Najpiękniejszy widok pod słońcem.

- Tam jest droga! - wykrzyknęła, wskazując ręką. - Jak sądzisz, będziemy na niej bezpieczni?

Nie umiał odpowiedzieć, lecz nie mieli wyboru. Nie mogą bez końca błąkać się po dżungli.

- Musimy zaryzykować - stwierdził.

- Trudno. Miejmy nadzieję, że nie wpadniemy z deszczu pod rynnę.

Droga to może zbyt szumna nazwa dla leśnego duktu, lecz

przynajmniej nie musieli walczyć z gałęziami i zapadać się po kolana w błoto.

Po pewnym czasie dotarli do wioski, wzbudzając niemałą sensację.

- Czy ktoś tu mówi po angielsku? - zapytał J.T.

Mieszkańcy popatrzyli po sobie, w końcu zawołali młodego chłopaka.

Hope uśmiechnęła się do niego przyjaźnie.

- Potrzebujemy przewodnika, żeby nas zaprowadził do miasta z lotniskiem - oznajmiła. - Zapłacimy.

J.T. posłał jej ostrzegawcze spojrzenie mówiące: Nie wspominaj o forsie w miejscu, gdzie osiemdziesiąt procent ludzi egzystuje poniżej progu ubóstwa. Hope jednak wiedziała, że nikt nie podejmie się tego zadania za darmo.

- W Comitán jest lotnisko - odezwał się chłopak. - Stąd to cztery godziny samochodem.

- A jak się nazywa ta wioska? - zapytał J.T.

- Lacanjá.

- Lacanjá - szeptem powtórzyła Hope. - Czyli znajdujemy się na południu Meksyku, blisko Gwatemali, tak?

- Tak - potwierdził J.T.

- Jak masz na imię? - zapytała Hope chłopaka.

- Juan. Witamy w Lacanjá. Jesteście głodni? Spragnieni?

- I jedno, i drugie - odrzekła Hope. - Możemy tu gdzieś kupić coś do zjedzenia?

- Si. W Campamento Vincente Paniagua. Spodoba się wam.

- Brzmi to zachęcająco. - Hope spojrzała na J.T., chcąc sprawdzić, co sądzi o tej propozycji.

Kiedy kiwnął głową, dała znak Juanowi, aby ich zaprowadził. Zaczynała odzyskiwać nadzieję, że już wkrótce znowu się znajdzie w powietrzu i wszystko wróci do normy, a ona przestanie myśleć o rzeźbionym torsie, mocnych udach i ramionach przystojnego pilota.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Ku zaskoczeniu J.T. i radości Hope pensjonat Campamento Vincente Paniagua okazał się sympatycznym miejscem dla turystów chcących być blisko natury, przeżyć niecodzienną przygodę, lecz jednocześnie nie rezygnować z takich wygód jak ciepła woda i toaleta.

I, co najważniejsze, honorowano w nim karty kredytowe.

- Widzę, że głębokie kieszenie to nie żart. - J.T. wskazał służbową czarną kartę American Express w dłoni Hope. Uciekając przed pewną śmiercią, nie zdążył wziąć portfela, więc musiał polegać na niej. - Nie każda firma daje takie swoim pracownikom.

- Nie jestem szeregowym pracownikiem - odparła.

- Domyśliłem się. - Nabrał porcję ryżu z czarną fasolą i włożył do ust. Jedzenie było proste, ale pyszne. Hope zrobiła to samo i aż mruknęła z rozkoszy.

J.T. natychmiast pomyślał o innych sposobach dostarczenia jej zmysłowych wrażeń. Opanuj się, nakazał sobie w duchu. Jedz i przestań w końcu fantazjować o tym staniku w serduszka zakrywającym jej piękne piersi.

- Juan mówi, że znalezienie ciężarówki, która nas zabierze do Comitán, potrwa dzień, ale możemy tutaj przenocować. Twierdzi, że warunki są bardzo dobre. Powiedziałem mu, że najważniejsze to łóżko i łazienka.

- Teraz, jak już nie musimy skakać ze skał i uciekać przed kulami, doceniam urodę tego miejsca - odparła.

Wrócił Juan.

- Wasz pokój gotowy - oznajmił z dumą. - Dostaliście apartament dla nowożeńców.

- Och! - wyrwało się Hope.

Spojrzała na J.T., szukając u niego pomocy, lecz on ucieszył się, że dostali jeden pokój. Razem są bezpieczniejsi. Poza tym w Meksyku rudowłosa kobieta to kusząca zdobycz dla handlarzy

żywym towarem.

- Świetnie - odrzekł.

- Co ty wyprawiasz? - syknęła. - Stać mnie na osobne pokoje.

- Nie o to chodzi. Razem jest bezpieczniej. Pamiętaj, że nie jesteśmy w Idaho.

Hope w mig zrozumiała, co ma na myśli.

- Dziękujemy - zwróciła się do Juana i wręczyła mu kilka dolarów za fatygę. - Zaprowadź nas do tego apartamentu. Marzę o kąpieli i miękkim łóżku.

Juan zaprowadził ich do części hotelowej, wygodnej i lśniącej czystością. Kiedy weszli do apartamentu dla nowożeńców, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyli, było ogromne łóżko z moskitierą.

- Jesteśmy dorośli - Hope przemówiła pierwsza. - Chyba możemy przespać się w jednym łóżku bez zbędnego skrępowania i chichotania jak para nastolatków.

J.T. miał wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do niego.

- Moim marzeniem jest sen, chociaż - ciągnął, nie mogąc oprzeć się pokusie, aby się z nią podroczyć - nie mam nic przeciwko przytulankom.

Hope zaczerwieniła się.

- Nie licz na to. Nasze relacje muszą pozostać czysto biznesowe.

- Nie narzucasz sobie zbyt wielu reguł? Czasami dobrze jest zaszaleć i sprawić sobie trochę frajdy.

- Mam wystarczająco dużo frajdy - oświadczyła sztywno. - Po prostu uważam, że nie należy mieszać interesów z chwilową przyjemnością. Dzisiaj zbyt wiele osób wskakuje razem do łóżka, nie bacząc na konsekwencje.

- Czasami dobrze ulec magii chwili - odparł i wzruszył ramionami. - Zobaczyć, dokąd to zaprowadzi.

- Doskonale zdaję sobie sprawę, dokąd mnie to zaprowadzi. - Posłała mu spojrzenie godne przełożonej szkoły klasztornej. - Właśnie dlatego nie ulegnę chwilowemu zauroczeniu.

- No, no...

- Wspólne przeżywanie intensywnych doznań może prowadzić do mylnego przekonania, że tworzy się coś głębszego.

- Aha. Nie chcesz sprawdzić tej teorii w praktyce?

Nie drażnij bestii, odezwał się ostrzegawczy głos. J.T. jednak rzadko kierował się rozsądkiem. Na dodatek widok Hope z butnie zadartą głową, pałającymi oczami i wilgotnymi włosami przypominał mu, jak idealnie jej ciało dopasowało się do jego ciała, gdy objął ją pod wodospadem. Powoli zaczął się do niej zbliżać.

- Co... co robisz? - Cofnęła się o krok. - To nie jest teoria, ale fakt udowodniony - mówiła, cały czas się cofając. - Uderzenie adrenaliny zaburza zdolność postrzegania... - Urwała, gdy za plecami poczuła ścianę. Z jej ust wyrwał się cichy okrzyk.

- Udowodnij to - rzekł zmysłowym głosem. Oparł dłonie o ścianę, zamykając ją w pułapce. - Czy ktoś już ci mówił, że jesteś zachwycająca? - Wargami musnął jej usta. - I zniewalająca?

- Dlaczego to robisz? - wyszeptała. W jej głosie jednak nie było strachu ani sprzeciwu, a raczej podekscytowanie oczekiwaniem na ciąg dalszy. - Umówiliśmy się, że łączy nas interes.

- Owszem, ale okoliczności się zmieniły. Może pora zacząć na nowo negocjować warunki?

Z początku przekomarzał się z nią, lecz teraz, gdy znalazł się tak blisko, ogarnęło go podniecenie.

- Skąd wiesz, że jestem otwarta na negocjacje? - zapytała.

- Kotku, jeśli nie przestaniesz patrzeć na mnie takim głodnym wzrokiem, będziemy mogli negocjować tylko miejsce, gdzie przypieczętujemy naszą umowę.

Znowu wargami musnął jej usta. Hope jęknęła. Ich języki spotkały się, otarły o siebie, rozpoczęły wspólny taniec. J.T. kolaniem rozsunął uda Hope i dotknął jej ud.

- Czy to się dzieje naprawdę? - szepnęła.

- Dla mnie jak najbardziej - mruknął przy jej ustach.

Odciągnął ją od ściany. Jest wspaniała, myślał. Jej błyszczące oczy z rozszerzonymi źrenicami, burza rudych włosów, piękne krągłości rozpałały jego pożądanie.

Cofnęła język, oddychała z trudem.

- Czasami trudno odróżnić rzeczywistość od... - Jeszcze próbowała protestować, lecz wyraz jej oczu przeczył słowom.

Zaprowadził ją do łóżka. Nie opierała się. Nigdy w życiu tak desperacko nie pragnął żadnej kobiety. Palce mu drżały, gdy wsuwał dłonie pod spódnicę Hope i podciągał ją do góry, odsłaniając

uda i...

Słodkie nieba! Maleńkie różowe serduszka takie same jak na staniku zatańczyły mu przed oczami. Całował każde po kolei, wdychając lekko piżmowy zapach ciała Hope, przez cienki materiał wargami pieścąc jej łono, aż jęknęła z rozkoszy i uniosła biodra.

J.T. wiedział, jak stopniować napięcie, jak doprowadzić partnerkę na skraj omdlenia, lecz przy Hope zapomniał o wszelkich sztuczkach, w których był mistrzem. Ona miała w sobie coś, co sprawiało, że znowu był niedoświadczonym nastolatkiem kierującym się tylko intuicją, trochę niezdarnym, trochę zagubionym we własnych doznaniach.

Ból w trzewiach stawał się nie do zniesienia, dominował nad racjonalnym myśleniem, zwyciężył nad chęcią smakowania językiem soków Hope, pokazania jej, do jakiej finezji jest zdolny. Szarpnięciem zdarł z niej majteczki, uniósł się i jednym ruchem posiadał jej ciepłe i wilgotne ciało. Hope krzyknęła, zadrżała, palce zacisnęła na prześcieradle.

- O Boże! - wyrwało się jej, gdy złapała oddech.

Dla J.T. był to dopiero początek, wstęp do uczt, po której wiele sobie obiecywał.

Hope była oszołomiona. Słyszała o kobietach, które przeżywają tak silny orgazm, że tracą przytomność, lecz nigdy nie wierzyła w tego rodzaju historie.

Teraz przestała wątpić w ich prawdziwość.

J.T. patrzył na nią takim wzrokiem, że zrobiłaby dla niego wszystko, czego by zażądał. Przewróciła się na brzuch, uklękła i obejrzała przez ramię. Położył jej dłonie na pośladkach, ścisnął mocno.

- Podoba ci się to, co widzisz?

- Nawet nie wiesz, jak bardzo - odparł niskim głosem.

Chwycił ją za biodra i wsunął na siebie. Hope zachłysnęła się powietrzem. Wtedy zaczął się poruszać szybko i rytmicznie, a ona natychmiast podjęła tempo. Łączyło ich teraz pożądanie w czystej formie, atawistyczne, pierwotne, wszechogarniające niczym ogień.



Wiedziała, że od tego rodzaju doznań można się uzależnić. Wiedziała, że J.T. to mężczyzna, który dostarczy kobiecie niewyobrażalnych rozkoszy, a potem ją zostawi. I żaden płacz nie pomoże.

W tej chwili jednak nie dbała o to.

Czuła go w sobie i to jej wystarczyło. Prawie nie słyszała jego okrzyku, gdy zamarł w ekstazie, a potem wydał z siebie westchnienie ulgi.

Opadli na łóżko. Przez kilka minut oboje ciężko dyszeli, nie mogąc złapać tchu. Hope położyła się na plecach, niewidzącym wzrokiem patrzyła na moskitierę.

- To było nie z tej ziemi - szepnęła.

Roześmiał się, uniósł na łokciu i zajrzał jej w twarz.

- To, rozumiem, jest komplement?

- Nie jestem pewna.

- Jesteś przynajmniej szczerą. - Starła się wyrównać oddech, zapanować nad szalonym biciem serca. Co teraz? Czy zdołają zachowywać się tak jak przedtem? - Nie filozofuj - rzekł i pogładził jej czoło. - To tylko seks.

Odsunęła się od niego.

- Oczywiście, że tylko seks - odparła dziwnie piskliwym tonem.

- Doskonale zdaję sobie z tego sprawę, ale... Nie mam w zwyczaju trafiać do łóżka z przypadkowymi znajomymi tylko z powodu seksu.

Uśmiech znikł z ust J.T.

- Powiedz, że stosujesz antykoncepcję. Błagam.

- Dlaczego to zawsze kobieta ma dbać o takie rzeczy? - odparowała, zirytowana nie tyle pytaniem, w końcu uczciwym i zasadnym, co faktem, że nie ma tyle siły, by zdusić w sobie rozpalone do białości pożądanie. - Tak, stosuję. Możesz przestać panikować.

- Bogu dzięki.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie i wstała z łóżka. Marzyła o prysznicu i chwili sam na sam ze sobą, aby uporządkować myśli.

- Dokąd idziesz? - zapytał.

- Muszę się nad czymś zastanowić.

- Nad czym się tu zastanawiać?

Spojrzała na niego.

- To twój problem. Ty nad niczym się nie zastanawiasz. Działasz pod wpływem impulsu, nierozważnie. Ja zawsze dwa razy myślę, zanim coś zrobię. Przed podjęciem ważnej decyzji sporządzam dwie listy, jedną z argumentami za, drugą przeciw. Tego, co się stało, nie było w moim starannie opracowanym planie.

- Cóż, skarbie, życia nie da się zaplanować w najdrobniejszych szczegółach. Czasami zachowanie pod wpływem impulsu, nierozważne, otwiera całkiem nowe perspektywy, których inaczej w ogóle byśmy nie dostrzegli.

Nie wiedziała, co się z nią dzieje. Czowała się wytracona z równowagi. Skłamała. Nie pierwszy raz poszła do łóżka z nowo poznanym facetem. Zdarzały jej się przygody na jedną noc i wcale nie dręczyły jej z tego powodu wyrzuty sumienia. J.T. miał jednak w sobie coś takiego, że nie potrafiła rozstać się z nim bez żalu, i to ją przerażało.

Przerażało nawet bardziej niż świadomość, że ktoś chce wykraść dzieło jej życia i wywołać ogólnoswiatowy kataklizm.

Cóż, moja droga, odezwał się głos rozsądku, chyba coś ci się pomieszało w głowie. Zatrząsnęła drzwi łazienki, oparła się o nie. Nie potrafiła wziąć się w garść.

I jak mają teraz spać w jednym łóżku?

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Wszluchiwał się w szum wody za cienkim przepierzeniem i walczył z pokusą dołączenia do Hope kąpiącej się pod prysznicem.

Zaczynał mieć jednak wątpliwości, czy seks z klientką to najlepszy pomysł. Wyobrażał sobie kazanie, jakie palnąłby mu Teagan, i wiedział, że oczywiście brat miałby rację. Bo Teagan nie podejmował głupich decyzji. Nie popełniał głupich błędów, nie zapominał zgłosić planu lotu, nie wydawał pieniędzy na striptizerki i gorzałę.

Nie rzucał wszystkiego na szalę, aby urzeczywistnić marzenie, które wciąż wymyka mu się z rąk.

Teagan nie...

Właśnie. Musi znaleźć telefon, zadzwonić i opowiedzieć, co się stało, pomyślał J.T.

Do tej pory Teagan już na pewno się zorientował, że samolot spadł, i zaczął organizować akcję poszukiwawczą, wykorzystując kontakty w wojsku.

Właściciel pensjonatu uległ jego prośbom i pozwolił mu zadzwonić do brata na koszt rozmówcy. J.T. odetchnął z ulgą, kiedy w słuchawce usłyszał:

- Do cholery, gdzie ty się podziewasz!?! - Teagan prawie wrzeszczał. - Pojechałem do hangaru, zobaczyłem podziurawione ściany, samolotu ani śladu. Co jest grane?

- Długo by opowiadać, braciszku. Po powrocie zdam ci szczegółową relację, a teraz chciałem ci tylko powiedzieć, żebyś się o mnie nie martwił.

- Gdzie jesteś?

- Lacánjá, Meksyk. Samolot spadł nad dżunglą. My mieliśmy szczęście.

- Samolot spadł?

- Tak. Możemy go spisać na straty. - Teagan zaklął pod nosem. Co miał powiedzieć? W końcu J.T. otarł się o śmierć i byłby ostat-

nim dupkiem, gdyby się nie cieszył, że smarkacz żyje. – Wiem, wiem, znowu zawałem. Ale wydawało mi się, że to będzie łatwa fucha, i dobrze płatna. Dałem się skusić, choć działy się dziwne rzeczy.

– Jakie?

– Ktoś do nas strzelał.

– Do nas?

– Tak. Do mnie i mojej klientki. Doktor Hope Larsen. Jakaś wysokiej klasy specjalistka. Pracuje dla korporacji farmaceutycznej, o której nigdy nie słyszałem. Obiecała kupić nam nową maszynę, jeśli dowiozę ją do Ameryki Południowej.

– Nową maszynę? – powtórzył Teagan z niedowierzaniem. – Masz to na piśmie?

– Nie, ale dała słowo. Za wszystko płaci czarną kartą American Express.

– To o czymś świadczy – mruknął Teagan. – Nic ci się nie stało?

– Nie. Jestem tylko trochę poobijany.

Teagan milczał ułamek sekundy za długo, w końcu powiedział:

– Cieszę się, że jesteś cały. Pal licha samolot, byłeś bezpiecznie wrócił do domu.

Dużo czasu minęło, odkąd J.T. ostatni raz słyszał od brata takie słowa. Odkąd zostali wspólnikami, a interes kulał, ich stosunki wciąż były napięte. To dlatego zdecydował się przyjąć zlecenie Hope. Jak mógł nie wykorzystać szansy uratowania Błękitnych Przeworzy?

– Dzięki. – Wzruszenie dławilo go w gardle. – Posłuchaj, mam do ciebie prośbę... Jedziemy do Comitán. Chcemy wynająć samolot. Znasz tam kogoś?

– Do diabła, to nie jest najbardziej przyjazne miejsce na ziemi. Jak się z tobą kontaktować?

– Postaram się kupić telefon. Odezwę się.

– Okej. Zrobię, co mogę.

– Dzięki. Zrewanżuję ci się kiedyś.

– Nie trzeba. Po prostu nie daj się zabić.

J.T. uśmiechnął się i zakończył rozmowę. Świadomość, że Teagan mu pomoże, poprawiła mu humor.

Hope wyszła spod prysznicza odświeżona, lecz w głowie nadal miała mętlik.

J.T. nie było w pokoju, za to na łóżku leżał podkoszulek i szorty, najwyraźniej kupione w kiosku dla turystów. Uśmiechnęła się wyrozumiale. Nieważne. Miło jest włożyć na siebie coś czystego i całego.

Pomyślała, że powinna przeprosić J.T. za wczorajsze zachowanie. Nie jego wina, że się pogubiła we własnych uczuciach. Gdy tylko wrócił, rzekła:

- Dziękuję za ubranie. Posłuchaj... Zachowałam się strasznie nieracjonalnie po... - zająknęła się - po wzajemnie satysfakcjonującym zbliżeniu seksualnym. Winien był stres związany z wydarzeniami ostatnich kilku dni. Zapewniam cię, że nie jestem nie-dojrzała i niezrównoważona.

- Dobrze wiedzieć.

Hope kiwnęła głową.

- Właściwie nie wiem, co we mnie wstąpiło. - Zaśmiała się nerwowo. - Było cudownie, ale nie może się powtórzyć. Łączy nas kontrakt i powinniśmy przestrzegać reguł. Trzymajmy ręce przy sobie.

- Pełna zgoda.

Spojrzała na niego podejrzliwie.

- Mówisz to, co wydaje ci się, że chcę usłyszeć?

- Tak.

- Nie ułatwiasz mi sprawy. Nie uważasz, że spanie z sobą to nie jest dobry pomysł?

- Jeśli lubisz się przytulać, to możemy mieć problem. Śpię nie-spokojnie.

- Dlaczego się ze mną droczysz? Przyznaj, że to nie jest dobry pomysł i zakończmy ten temat. Możemy udawać, że między nami nic się nie wydarzyło.

W kilku krokach stanął przy niej. Hope dech zaparło.

- Posłuchaj, kotku, jeśli ty potrafisz trzymać ręce przy sobie, ja też. Ale jeśli będziesz podkrecać ogień, to z garnka wykipi. - Trafna metafora, pomyślała. Bardzo chciała okazać silną wolę, lecz J.T. był tak obłudnie seksowny, że w okamgnieniu ją rozbrajał. - Widzisz? - Uśmiechnął się szelmowsko. - Znowu to robisz.

On chyba czyta w jej myślach!

- Co takiego robię?

- Patrzysz na mnie takim wzrokiem, jakbyś chciała mnie żywcem pożreć. - A niech to! Wspomnienie wczorajszych doznań przyprawiło ją o drżenie. - Widzisz? - rzekł łagodnym tonem i wargami dotknął jej ust. - Właśnie o tym mówię.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Hope spojrzała najpierw na zdezelowaną ciężarówkę, potem na J.T.

- Jesteś pewien? - zapytała. Ściszyła głos, aby nie urazić kierowcy, którego znalazł Juan. - To nie wygląda... - szukała odpowiedniego słowa - bezpiecznie.

- Na bezrybiu i rak ryba - odparł również ściszone głosem i pomógł jej wdrapać się na pakę ciężarówki. Usiedli na siedzisku z poduszek i złożonych koców. J.T. uśmiechnął się do Juana. - Dojedźmy do lotniska, a dalej zobaczymy.

Hope kiwnęła głową i wręczyła Juanowi gruby plik banknotów. Chłopak był uszczęśliwiony.

- Wiesz, że dałaś mu chyba tyle, ile zarabia przez miesiąc? - zauważył J.T. - Jego rodzina zje dziś dobrą kolację.

- Zamknięci w naszych wieżach z kości słoniowej nie zdajemy sobie sprawy z tego, jak bardzo nam się w życiu poszczęściło - odparła.

Myślała o zawartości plecaka, która w ciągu kilku dni unicestwiłaby wioskę taką, jaką właśnie opuścili. Stawką w tej grze jest życie bezbronnych ludzi. Kątem oka spojrzała na J.T. Imponowała jej łatwość, z jaką dostosowuje się do każdej, nawet najgorszej sytuacji. Bardzo pragnęła osiąść tę umiejętność.

J.T. założył ciemne okulary i wystawił twarz do wiatru. Był obłudnie przystojny. Natychmiast osaczyły ją erotyczne wizje. Jak to możliwe, zastanawiała się, że mężczyzna, który stanowi jej całkowite przeciwieństwo, tak bardzo ją pociąga.

Mocniej przycisnęła plecak do piersi. Ciekawe, myślała, co by powiedział, gdyby odkrył, co wiezie.

Znienawidziłby ją?

Gdyby nie była takim tchórzem, powiedziała mu i niech będzie, co ma być. Ale tego nie robi. Za żadne skarby świata. Nie dlatego, że naraża go na niebezpieczeństwo, ale dlatego, że boi

się jego reakcji.

Myśl, że spojrzalby na nią z obrzydzeniem, paraliżowała ją. Nie przewidziała, że jej odkrycie zostanie wykorzystane w hańbiącym celu. Ale czy to stanowi okoliczność łagodzącą?

Oczywiście, że nie. Zawsze z tyłu głowy czaiła się świadomość możliwej tragedii, jeśli wirus wpadnie w niepowołane ręce, lecz była zbyt dumna z własnych osiągnięć, aby wsłuchiwać się w podobne sygnały ostrzegawcze.

Teraz żałowała, że nie wycofała się z uczestnictwa w tym projekcie. Może jej szefowa by teraz żyła?

Hope czuła, że łzy napływają jej do oczu. Odwróciła twarz, aby J.T. niczego nie zauważył.

Tyle rzeczy zrobiłaby inaczej.

Wszystko jednak zależy od powodzenia tej misji. Musi się skoncentrować tylko na niej.

Reszta... Reszta to jedynie zgiełk.

J.T. zapadł w drzemkę, w czym nie było nic dziwnego, zwłaszcza że tej nocy niewiele spał. Gdy się obudził, dojeżdżali właśnie do przedmieść Comitán, brudnych, ciasnych, jak gdyby z innej epoki.

Po ulicach biegały dzieci w podartych ubraniach i psy. Z każdego kąta wyzierała skrajna bieda. Był to świat zupełnie inny niż ten, do którego przywykła większość Amerykanów. On jednak podczas służby na misjach zagranicznych poznał wiele odmiennych kultur.

Co innego Hope. W jej oczach, gdy patrzyła na dzieciaki, które zamiast na ulicy powinny być w szkole, widział zdumienie i empatię. Nie musiał jej mówić, że większość z nich nigdy nie była w szkolnej klasie i że nigdy nie wydostanie się z zakłętego kręgu nędzy.

Ciężarówka zatrzymała się przed obskurnym niskim pawilonem ze sklepami. Okolica nie wyglądała na bezpieczną.

- Lotnisko jest tam. - Kierowca wyciągnął rękę, wskazał kierunek zachodni i spojrzął na plecak Hope.

Szybko wręczyła mu pieniądze.

- Dziękujemy - zdążyła jeszcze mruknąć, zanim mężczyzna od-



jechał. – Błagam – odezwała się do J.T. – powiedz, że nie tłuśliśmy się cztery godziny na pace ciężarówki po to tylko, żeby dostać nożem na tej ulicy.

– Muszę gdzieś tu kupić telefon – oznajmił.

Miał poczucie, że stoją jak na scenie z wypisaną na twarzach prośbą, by ich napadnięto, zamordowano i obrabowano. W pierwszej chwili pomyślał, że kierowca ich oszukał, lecz gdy się rozejrzył, spostrzegł, że podwiózł ich we właściwe miejsce.

– Patrz, tu jest sklep elektroniczny. Powinni mieć telefon. Mój brat stara się załatwić dla nas samolot. Muszę się z nim skontaktować.

– Kiedy dzwoniłeś do brata?

– Wczoraj. Z Lacanjá.

– Mówiłeś mu o mnie? – W głosie Hope zabrzmiała nuta paniki.

J.T. domyślił się, że jej niepokój ma związek z tajemniczą zawartością plecaka, a nie z erotyczną przygodą. Wolałby ten drugi powód.

– Nie. Wspomniałem tylko, że mam klientkę i że wpadliśmy w tarapaty.

– To dobrze. I niech tak zostanie. – Wyraźnie się odprężyła. – Chodźmy po telefon.

Weszli do małego sklepu. Szczęście im sprzyjało, bo dostali i telefon, i kartę roamingową. Hope zapłaciła.

– Masz jakiś limit wydatków? – zapytał. Hope uśmiechnęła się tylko. – Okej, okej. Twoja praca i ten cholerny plecak to tematy zakazane.

– Tak jest lepiej.

– Dla kogo?

– Dla nas obojga. – Miał wątpliwości, lecz to nie był moment na tego rodzaju dyskusje. – Dzwon do brata, a ja pójdę wypłacić trochę gotówki. – Hope wskazała niewielki bank naprzeciwko.

– Pójdę z tobą – oświadczył.

– To tylko przez ulicę. Nic mi się nie stanie.

– Rozejrzyj się. To nie Ameryka Środkowa. Tu kwitnie handel żywym towarem. Atrakcyjne kobiety giną w biały dzień z ulicy.

Hope zbladła.

– Może masz rację.

W stosunkowo krótkim czasie Hope wypłaciła sporą sumę i schowała pieniądze do plecaka. J.T. oczami wyobraźni widział, jak zręczny złodziej zrywa go jej z rąk, lecz milczał. Wiedział, że jej nie przekona.

Wyszli z banku i J.T. zadzwonił do Teagana.

- J.T.? Już zaczynałem się niepokoić.

- Dopiero przed chwilą udało mi się kupić telefon. Załatwiłeś samolot?

- Tak. Musiałem uruchomić pewne kontakty, ale znalazłem maszynę. Uprzedzam, to będzie trochę kosztowało. Mówiłeś, że twoja klientka ma kasę?

- Owszem. Twierdzi, że jej firma wybuli każdą sumę za dostarczenie jej na miejsce.

- Dowiedziałeś się, co wiezie? - Niepokój w głosie Teagana był odbiciem jego niepokoju. - Coś mi tu śmierdzi. Dlaczego do was strzelano?

Nie mógł odpowiedzieć, bo sam nie wiedział. I nie mógł wdać się w szczegóły, bo Hope stała obok i przysłuchiwała się ich rozmowie.

- Z kim mam się skontaktować?

- Facet nazywa się Alejandro Ruiz. Znajdziesz go w prywatnym hangarze w Comitán. Zgodził się lecieć do Ameryki Południowej.

- Dobra robota. Masz u mnie dług.

- Nieważne. Ważne, żebyś wrócił cały i zdrowy. Nie podoba mi się ta impreza.

- Mnie również - mruknął J.T. - Odezwę się. - Schował telefon do kieszeni i zwrócił się do Hope: - Załatwione. Pilot czeka na lotnisku w Comitán. Nazywa się Alejandro Ruiz.

- Bogu dzięki! - Pod wpływem impulsu wspięła się na palce i pocałowała go w usta. Oniemiał. - Przepraszam - wybąkała, zaskoczona swoim zachowaniem. - To było niewłaściwe, ale jestem taka szczęśliwa...

Wiedział, że najlepiej nie zaprzeczać, chociaż lubił się z nią całować i przyjemnie mu się zrobiło, że dziękowała mu właśnie w taki sposób.

- Skoro mamy się całować, zrobmy to jak należy - oświadczył i ustami przywarł do jej warg. Po chwili odsunął się, wziął ją za

rękę i zarządził: – Idziemy.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Alejandro Ruiz, niski, krępy, uśmiechnięty, z błyskiem w brązowych oczach, natychmiast zjednął sobie sympatię Hope. Bez mrugnięcia powieką wręczyła mu gruby plik banknotów. Była szczęśliwa, że może kontynuować podróż. Im szybciej wzniosą się w powietrze, tym szybciej dotrą na miejsce, a ona będzie mogła zdetonować tykającą bombę, którą wiezie w plecaku.

- Gdzie znajduje się laboratorium? - zapytał J.T., gdy usiedli, zapięli pasy i włożyli słuchawki, aby móc swobodnie rozmawiać i nie słyszeć warkotu silników oraz pilota sprawdzającego listę kontrolną przed lotem.

Hope zastanawiała się, co odpowiedzieć. Pierwotnie miała zamiar zaraz po przylocie do São Paulo rozstać się z J.T. Była przekonana, że sama załatwi sobie dalszy transport. Sytuacja jednak zmieniła się tak radykalnie, że zaczęła wątpić, czy podróż w pojedynkę to najlepszy pomysł.

- W odległym zakątku Brazylii. Słabo zaludnionym.

- Świetne miejsce na prywatne supertajne laboratorium badawcze - skwitował cierpkim tonem. - Co się wydarzy, kiedy tam dotrzemy?

Całą noc dręczyło ją to pytanie. W laboratorium nikt nie wiedział, że zamierza zniszczyć szczep wirusa. Otrzymała polecenie zgłoszenia się tam, aby zabezpieczyć próbki, lecz gdy jej szefowa, Tanya, przechwyciła informację, że ktoś z firmy negocjuje sprzedaż niebezpiecznej broni biologicznej, postanowiły do tego nie dopuścić. Miały lecieć razem, lecz Tanya została zastrzelona w biały dzień na ulicy przed barem z kanapkami i ich plan wziął w łeb.

Hope uważała, że już naraziła J.T. na niebezpieczeństwo, a gdyby wtajemniczyła go w swoją misję, oddałaby mu iście niedźwiedzią przysługę.

- Jesteś zdenerwowana - zauważył. - Wszystko w porządku?

- W absolutnym. - Uśmiechnęła się ze sztucznym entuzjazmem. - Cieszę się, że nareszcie zmierzamy do celu.

Kiwnął głową i poprawił się w fotelu, lecz spojrzenie, jakim ją obrzucił, świadczyło, że jej nie uwierzył.

Och, gdyby mogła powiedzieć mu prawdę! Zna go kilka dni zaledwie, lecz ufa mu, jak nikomu w świecie. Może to był skutek połączenia sytuacji ekstremalnej z burzą hormonalną, lecz najbardziej chciała przytulić się do niego, wyrzucić z siebie wszystko i prosić o radę, co robić dalej. Zwalczyła jednak w sobie tę pokusę. Nie jest damą w opałach ze średniowiecznego romansu, lecz nowoczesną, silną i niezależną kobietą. Da sobie radę.

Wyczerpana psychicznie i fizycznie zamknęła oczy i zasnęła. Miło było choć na chwilę zapomnieć, że po wylądowaniu w São Paulo jej życie już nie będzie takie samo.

Cieszył się, że udało mu się zdrzemnąć podczas jazdy na pace ciężarówki, bo w samolocie, z nieznanym sobie pilotem za sterami, oka nie mógłby zmrużyć. W powietrzu ufał tylko sobie i Teaganowi.

Hope spała jak zabita. J.T. miał lekkie wyrzuty sumienia, że w nocy nie pozwolił jej zasnąć, lecz doskonale wiedział, że gdyby znowu nadarzyła się okazja, postąpiłby tak samo.

Ta kobieta miała w sobie więcej seksapilu niż wszystkie jego poprzednie kochanki. Połączenie inteligencji ze zmysłowością podniecało go bardziej, niż się spodziewał.

Przy niej zrozumiał, że jego dotychczasowy gust dotyczący kobiet był żenujący. Podobały mu się babki niezbyt bystre. Nie chciał na rozbieranej randce rozmawiać ani o polityce, ani o globalnym ociepleniu. Lubił dziewczyny ostre i śmiałe i nie tracił czasu na szukanie porozumienia na poziomie intelektu.

Hope go odmieniła. Zapraagnął uwieść jej ciało i umysł. Nie lada wyzwanie, zważywszy jej inteligencję i wykształcenie.

Dawno nie czuł takiego zastrzyku adrenaliny. Co to znaczy? Po tej wyprawie, zakładając, że w ogóle przeżyją, każde pójdzie w swoją stronę.

Hope ani razu się nie zająknęła, że kiedy już będzie po wszystkim, chce kontynuować znajomość. On też nic nie powiedział na

ten temat. Czekał na sygnał z jej strony, że jest otwarta na propozycję, ale się nie doczekał. Postanowił więc nie narażać się na odmowę.

Kto lubi być odrzucony?

Z drugiej strony jednak perspektywa rozejścia się w przeciwnych kierunkach wcale mu się nie podobała.

Co się z nim dzieje? Chyba zamienia się w babę.

Znał trochę Brazylię i zakładał, że wylądują w São Paulo, lecz gdy przelecieli nad tym największym miastem w kraju, ogarnęły go złe przeczucia.

- Gdzie wylądujemy? - zapytał. - Właśnie minęliśmy São Paulo.

- Nie mam pozwolenia na lądowanie w São Paulo - wyjaśnił Alejandro. - Kumpel prowadzi małe lotnisko trochę na uboczu. Tam wylądujemy. Nie martw się. Zadbam o ciebie i twoją panią.

J.T. nie podobało się to, co usłyszał, nie miał jednak wyjścia. Musiał robić dobrą minę do złej gry i żywić nadzieję, że Alejandro ich nie zamorduje.

Wszystko przez ten cholerny plecak. Żałował, że nie potrafi grzebać w cudzych rzeczach bez wiedzy właściciela. Każdy ma swoje tajemnice. On również. Są w jego życiorysie epizody, których nie ujawnia, chociaż z ich powodu nikt do nich nie strzela. A może boli go to, że ona tak pilnie strzeże swojego sekretu?

Nie przywykł do kobiet niezależnych, zachowujących się z rezerwą wobec obcych. Kobiety zazwyczaj usiłowały nawiązać głębsze relacje z nim i to on utrzymywał dystans. Lubił mówić o sobie, że jest zatwardziałym kawalerem i że dobrze mu z tym, lecz prawda była inna. Łatwiej było unikać zobowiązań, niż zufać drugiemu człowiekowi i oddać mu tak wrażliwą i tak pokiereszowaną część siebie jak serce.

Zastanawiał się, co Hope by pomyślała, gdyby знаła historię jego kariery wojskowej i wiedziała o wszystkim, czego doświadczył. Nie, nie rozczulał się nad sobą i swoją utraconą niewinnością, lecz o wielu rzeczach, jakie musiał robić w imię służby ojczyźnie, wołałby zapomnieć.

O Hope wiedział właściwie tylko tyle, ile sama mu powiedziała. Mogła kłamać jak najęta, a on by się nie połapał. Chętnie dowiedziałby się o niej jak najwięcej. Kurczę, zaczyna mieć obsesję.

Wszystko, co jej dotyczy, rozpala mu zmysły. Nawet jej tajemnice.

Dużo czasu minęło, odkąd ostatni raz wykorzystywał swą wiedzę wojskową, lecz takich rzeczy się nie zapomina. Mgliste informacje Alejandra obudziły jego czujność. Nie podobała mu się perspektywa wylądowania na odludziu. Pamiętał, jak do nich strzelano.

- To gdzie dokładnie jest to lotnisko?

- Niech cię o to głowa nie boli, kolego. Już to przerabiałem. Jesteście w dobrych rękach.

Te słowa nie uspokoiły J.T. Jeśli chodzi o nielegalny handel narkotykami, Ameryka Południowa nie ustępuje Meksykowi. Pomyślał o wylądowanym forszą plecaku Hope, która teraz obudziła się z ziewnięciem.

- Dolecieliśmy? - zapytała.

- Nie lądujemy w São Paulo - odrzekł. W oczach Hope pojawił się błysk niepokoju. - Alejandro nie ma pozwolenia na korzystanie z tamtejszego lotniska. Ale jego kumpel ma prywatne lotnisko. Teraz lecimy tam.

- Prywatne lotnisko? - powtórzyła. - Co dalej? Skąd weźmiemy jakiś transport na miejsce?

Alejandro, który słyszał, o czym mówią, wtrącił się teraz do rozmowy.

- Nie ma się o co martwić, seniorita. Wszystko jest załatwione. Mój kumpel zawiezie was, gdzie potrzebujecie.

Hope opadła na oparcie fotela, lecz nadal była spięta. Rzuciła J.T. spojrzenie mówiące: Kłopoty?

Sam się tego obawiał. Co jednak mógł zrobić? Dopiero po wylądowaniu okaże się, czy wpakowali się w nowe tarapaty, czy nie.

Może przesadza? Alejandro sprawia wrażenie poczciwego faceta. Kiedy to wszystko się skończy, będą żartować ze swych podejrzeń. A może to oni są ofiarą żartu? I zaraz wpadną prosto w ręce tych samych oprychów, od których uciekają?

Miał przecucie, że zostali wystawieni do wiatru.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Hope czuła, że J.T. nadrabia miną, aby jej nie niepokoić. Umowa z Alejandro Ruizem dotyczyła przelotu do São Paulo, nie do jakiegoś prywatnego lotniska w głębi amazońskich lasów deszczowych.

To pachniało takim samym kręactwem jak raport policyjny w sprawie śmierci Tanyi: przypadkowa strzelanina podczas napadu rabunkowego na ulicy.

W gardle jej zaschło, zbierało jej się na płacz.

J.T. ujął jej dłoń, uścisnął i przytrzymał. Oddała uścisk. Potrzebowała ludzkiego ciepła. Rozumiała, że jeśli J.T. ma jakiś plan, oczywiście nie może się nim z nią podzielić, gdyż Alejandro słyszy każde słowo.

Jeszcze tydzień temu nic nie wiedziała o intrydze i niebezpieczeństwie czającym się za rogiem. Zaledwie trzy tygodnie temu razem z Tanyą jadły pizzę w stołówce laboratorium, zbyt podekscytowane nagłym przełomem w badaniach, by poświęcić na przerwę więcej niż kwadrans.

Jej życie wypełniały praca i nauka, nauka i praca, a sprawy towarzyskie schodziły na dalszy plan. Nie skarżyła się. Wiedziała, że uczestniczy w przełomowym wydarzeniu. Tanya podzielała jej entuzjazm i pragnienie odkrywania nowych zjawisk. Nie zastanawiały się, czy powinny kontynuować pracę nad wirusem.

A teraz Tanya nie żyje. Jej rodzina pogrążona jest w rozpacz, ona zaś leci jakimś samolotem rzęchem nie wiadomo dokąd. Czy to będzie sprytnie zastawiona pułapka, czy bezpieczny port?

Miała potworne przeczucie, że raczej ta pierwsza ewentualność okaże się prawdą.

Ściągnęła słuchawki. Musiała odciąć się od wszystkiego. Nawet od J.T. Zrozumiał ją. W normalnych okolicznościach mężczyzna taki jak on byłby wspaniałym kompanem, chociaż mało prawdopodobne, by się spotkali.



Spojrzała na niego z ukosa. Ale on jest przystojny, pomyślała. I diabelnie seksy. Ogarnęły ją wspomnienia wczorajszego nocnego maratonu. Zaczerwieniła się. Nie należała do kobiet, które tracą głowę dla faceta.

Rzecz w tym, że J.T. nie jest zwyczajnym facetem.

Chyba nie powinna rozmyślać o intymnych chwilach spędzonych z wynajętym pilotem, gdy lecą na pewną śmierć. A może w opałach należy myśleć o radosnych przeżyciach? Jeśli grozi im śmiertelne niebezpieczeństwo, powinna się cieszyć, że się z nim przespała.

Przestań, nakazała sobie w duchu. Nie ulegaj defetyzmowi. Była jednak zbyt zdenerwowana, aby chwycić się fałszywej nadziei. Intuicja jej podpowiadała, że J.T. przeżywa te same rozterki.

Co, do diabła, mogą w tej sytuacji zrobić?

Alejandro gładko wylądował na pasie ubitej ziemi. Uśmiech zadowolenia nie schodził mu z twarzy. Na lotnisku czekał już czarny samochód. Gdy wysiadło z niego czterech potężnie zbudowanych osiłków, J.T. nie był zaskoczony, chociaż cały czas miał nadzieję, że jego najgorsze obawy się nie sprawdzą.

Hope zażądała od pilota wyjaśnień. Starła się trzymać fason, lecz w jej głosie pobrzmiwały tony paniki.

- Co to ma znaczyć? Zapłaciłam za bezpieczny transport.

- I ja bezpiecznie dowiozłem was na miejsce. Wywiązałem się z umowy. Czasy są ciężkie, moja rodzina ma potrzeby. Nie mogę nie skorzystać z okazji, która sama się nadarza - oświadczył z uśmiechem i zsalutował zbirom. - Przesyłka dostarczona. - Jeden z nich wyciągnął plik banknotów. Alejandro złapał je w powietrzu. - Adios! - krzyknął, wszedł do samolotu i wystartował.

Drugi zbir zdjął okulary słoneczne, schował do wewnętrznej kieszeni źle skrojonej marynarki i zwracając się do Hope, oznajmił:

- Komuś bardzo zależy na spotkaniu z panią, doktor Larsen.

J.T. kątem oka dostrzegł błysk kolby rewolweru pod połą marynarki. Wiedział już, czym skończyłaby się każda próba ucieczki. Na dodatek w głębi dżungli może ich spotkać bardziej maka-

bryczna śmierć niż kulka w plecy.

- Kim jest ów tajemniczy ktoś? - zapytał, chcąc zyskać na czasie.

Typy jednak nie były w nastroju do rozmów. Na niemy sygnał dowódcy jeden z nich chwycił Hope, dwaj pozostali rzucili się na J.T., wymierzili mu kilka ciosów w brzuch i w szczękę, błyskawicznie skrępowali i wrzucili do bagażnika.

Słyszał jeszcze krzyki Hope, gdy wpychali ją na tylne siedzenie, lecz silny policzek położył im kres. J.T., wciąż lekko zamroczony, natychmiast otrzeźwiało. Wiedział, że musi postępować sprytnie i ostrożnie. Jest prawdopodobne, że te przyjemniaczki wiozą ich do tej samej osoby, która zleciła strzelaninę w Kalifornii i która potem cały czas prowadziła poszukiwania.

Logika wskazuje, że nie zrobią Hope krzywdy, bo jest im potrzebna, chociaż nie tyle ona, co zawartość jej plecaka. Jego zaś nic nie chroni. Niewykluczone, że go wykończą zaraz po przyjeździe, dlatego musi znaleźć sposób na wydostanie się z bagażnika wcześniej.

Słyszał stłumione śmiechy oprychów, lecz Hope milczała. Uderzenie mogło być na tyle silne, że straciła przytomność. J.T. miał ochotę zabić każdego, kto jej dotknął, lecz zdusił w sobie wściekłość. Musi działać racjonalnie. Poruszył palcami. Sznur był dość luźny, więc udało mu się oswobodzić najpierw ręce. Ze stopami poszło trudniej, lecz w końcu pozbył się pęt.

Podczas służby przeszedł szkolenie z zachowania w ciasnych pomieszczeniach i nauczył się, w jakiej pozycji układać ciało i jak regulować oddech, aby uniknąć paniki. Nigdy nie musiał korzystać z nabytych umiejętności, lecz teraz mu się przydały.

- Dzięki, sierżancie Thack, ty draniu - mruknął.

Sierżant Thack wysłał go na szkolenie za karę za to, że uwiódł mu córkę. Sześć tygodni katorgi, najgorszej w życiu. Najgorszej aż do teraz.

J.T. wysuwał z kieszeni komórkę, której zbirzy nie zdążyły mu zabrać, i zadzwonił do Teagana.

- Kłopoty - szepnął, gdy brat nareszcie odebrał.

- Jakie? I co to za hałasy?

- Szum kół po bezdrożach. Z wnętrza bagażnika. Potworność.

Odradzam.

- Jedziesz w bagażniku?

- Tak i zakładam, że to dopiero zapowiedź przyjemności, jakie mnie czekają. Pilot nas sprzedał.

- Drań. Niech tylko dostanę go w swoje ręce...

- Zapomnij o nim. Pomóż mi się wydostać.

- Niech pomyślę... To nowy wóz?

- Z tego, co zdążyłem zauważyć, raczej tak.

- W porządku. Łyżka do opon powinna być w schowku z boku. To jedyna broń, jaką możesz się posłużyć. Kiedy otworzą bagażnik, wyskocz i wymachuj łyżką. Nie będą się tego spodziewali, zyskasz kilka minut na ucieczkę.

- Co z Hope?

- Martwy już jej nie pomożesz. - J.T. musiał przyznać, że to argument nie do zbiccia. - Będę śledził twoje położenie za pomocą GPS-a. Uruchomię kontakty.

- Uważaj, bo dzięki temu ostatniemu wylądowałem w bagażniku. Twoje kontakty nie wzbudzają zaufania.

- Masz lepszy pomysł?

- Nie.

- To się zamknij i pozwól mi działać.

- Tylko się pośpiesz. Nie uśmiecha mi się śmierć w dżungli amazońskiej. Wiem z pewnego źródła, że umrę w łóżku w ramionach biuściastej blondynki.

- Dobrze, dobrze. Postaraj się zgubić w tej dżungli, a ja cię znajdę.

- Tak jest!

Ze względu na Teagana J.T. nadrabiał miną. Sytuacja była nie-wesoła, a szanse na powodzenie ich planu wątle. Obaj doskonale o tym wiedzieli.

- Trzymaj się. Zabieram się do roboty.

J.T. zamknął oczy. Zastanawiał się, czy to nie była jego ostatnia rozmowa z bratem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Hope potwornie bolała szczęka, lecz trzymała się dzielnie i nie skarżyła. Wiedziała, że gdyby choć pisnęła, potężny bandyta uderzyłby ją ponownie.

Niepokoiliła się o J.T. wrzuconego do bagażnika. Czy ma tam dość powietrza? A może go zabili? Zimny dreszcz przebiegł jej po plecach. Nie mogli go zabić! On na pewno wymyśli jakiś sposób, żeby...

Jak można uciec z bagażnika pędzącego samochodu, mając na dodatek związane ręce i nogi?

No tak, nie jest czarodziejem.

Samochód zatrzymał się przed masywną pięknie kutą bramą w sercu dżungli. Kierowca wystukał kod i skrzydła bramy powoli się rozsunęły. Uzbrojeni po zęby strażnicy patrolowali granice posiadłości zamienionej w fortecę.

Kierowca podjechał pod okazałą rezydencję w stylu kolonialnym z frontem z białymi balustradami balkonów aż pod sam dach i się zatrzymał.

Kto buduje pałac w środku dżungli? Tylko ktoś, kto nie chce, aby go odnaleziono. Hope aż się wzdrygnęła ze strachu. Szybko jednak doszła do wniosku, że ten, kto ją tu ściągnął, wie, co ma w plecaku, i dlatego na razie jej życiu nic nie zagraża. J.T. natomiast stanowi zbędny balast, którego trzeba się pozbyć. Nie mogła znieść myśli, że to wszystko jej wina. Postanowiła działać.

- Jeśli coś stanie się mojemu przyjacielowi, wasz pracodawca nie dostanie tego, na czym mu zależy - oświadczyła.

- Zamknij się. Zrobisz, co ci każą.

Hope ciarki przeszły po całym ciele, lecz brnęła dalej.

- To, czym dysponuję, zabije was w ciągu kilku godzin. Z rozkoszą będę się przyglądała, jak wasza skóra skwierczy, wnętrzności topnieją, a kości się rozpadają. To wszystko jednak nie nastąpi jednocześnie. Będziecie świadomi tego, co się z wami dzieje.

Można to porównać... - dla lepszego efektu zawiesiła głos - do bycia żywcem pożerany przez dziką bestię.

Mam was, pomyślała, kiedy zbiry siedzące po jej obu stronach odsunęły się od niej.

- Usiłuje was nastraszyć - odezwał się kierowca.

- Skutecznie - burknął jego towarzysz siedzący z przodu. - A jeśli nie kłamie?

- Właśnie. - Natychmiast skorzystała z okazji i z perwersyjnym uśmiechem ciągnęła: - Na tym polega mój zawód. Wymyślam nowe i zaskakujące środki zabijania nie pozostawiające śladów.

Blefowała, ale oni przecież o tym nie wiedzą. Najważniejsze, by myśleli, że jest groźniejsza od nich.

Gdy tylko kierowca zaparkował, bandyci trochę za szybko wyskoczyli z samochodu. Hope uśmiechnęła się z satysfakcją. Pierwszy etap planu się powiódł.

- Co z nim? - padło pytanie.

Kierowca zastanawiał się chwilę. W końcu polecił:

- Przeprowadźcie go. Szef sam zdecyduje.

Hope odetchnęła z ulgą. Nie zabiją J.T. Na razie.

Kłapa bagażnika się otworzyła i rozpełtało się istne piekło. J.T. wyskoczył jak z procy, wymachując łyżką do zdejmowania opon. Tryskała krew, zbiry miotały przekleństwa. Kierowca pchnął Hope na ziemię i zasłaniając się jednym ramieniem jak tarczą, drugą ręką wymierzył J.T. cios prosto w szczękę. J.T. kopnął go lewą stopą w kolano. Mężczyzna runął jak długi.

Była to scena godna filmu akcji. J.T. w kilka sekund zdobył przewagę, lecz gdy Hope zerwała się z ziemi gotowa do ucieczki, rzucił:

- Zostań!

- Co ty wygadujesz? Nie możesz mnie tu zostawić!

- Wróć! Zaufaj mi! - krzyknął i znikł w zaroślach.

Oniemiała patrzyła za nim. Drań! Zostawił ją!

- Niech cię pożre anakonda! - zawołała.

Bandyci z trudem podnosili się z ziemi. Klęli przy tym na czym świat stoi.

- Znajdźcie go i sprowadźcie tutaj! - wrzasnął kierowca.

Mężczyźni puścili się pędem za J.T.

- Twój kumpel drogo za to zapłaci - warknął kierowca. - Ruszaj się! - Głową wskazał drzwi.

Zamontowane na suficie wiatraki poruszały powietrzem przesyconym wilgocią. Z ogromnych donic wylewały się egzotyczne rośliny korespondujące z dzikim otoczeniem pałacu. Hope pomyślała, że nie byłaby zaskoczona, gdyby nagle z wnętrza którejś z nich wyskoczyła małpa albo wysunął się wąż.

Kierowca wepchnął ją do dużego gabinetu ze ścianami ozdobionymi myśliwskimi trofeami.

- Czekaj tu! - warknął.

Po chwili do pokoju wszedł nieskazitelnie ubrany mężczyzna z dystygowaną siwizną na skroniach. Patrząc na niego, Hope była pewna, że to on zlecił zabójstwo Tanyi albo sam ją zabił.

Mimowolnie się wzdrygnęła. Zauważył to i uśmiechnął się draźnie.

- Napije się pani czegoś zimnego? - zapytał i usiadł w obitym skórą fotelu za ogromnym mahoniowym biurkiem. Mówił po angielsku z silnym hiszpańskim akcentem. - Tutejsi mieszkańcy przyrządzają pyszny napój zwany *ulubomba*. Miksują owoc *cupacu*, który ma smak czekolady, z bananem, gruszką, passiflorą i ananase. Od pierwszego łyku się uzależniłem.

- Dlaczego kazał pan mnie porwać i przywieźć tutaj wbrew mojej woli? - Wybrała metodę obrony przez atak.

Mężczyzna złączył czubki palców obu dłoni.

- Przepraszam za niedogodności, ale trudno się z panią skontaktować - odrzekł.

- Wystarczyło zatelefonować - odparła. - Proszę wybaczyć, lecz niezbyt miałam ochotę pana poznać po tym, jak zabił pan moją przyjaciółkę i usiłował zestrzelić samolot ze mną na pokładzie.

- Niestety nie da się usmażyć omletu, nie rozbijając jajek.

- Ludzie to nie jajka.

- Dla pani informacji, strzelanie do samolotu to była samodzielna inicjatywa jednego z moich pracowników. Na szczęście nieudana. Przy okazji odkryliśmy, że jest pani bardzo pomysłowa. Zaimponowała mi pani swoim sprytem. Zręcznie nas pani unika-

ła.

- Prawi mi pan komplementy? Kim pan jest?

- Nie traćmy czasu na rozmowy o przeszłości, tylko zajmijmy się przyszłością. Anso DeLeon - przedstawił się. - Miło mi nareszcie poznać kobietę, która pomoże mi przejść do historii.

- Pan oszalał. Po tym, co pan zrobił, nie pomogłabym panu przejść nawet przez ulicę.

Anso DeLeon wstał.

- Odbyla pani długą podróż - zauważył. - Przepraszam, zaniebduję obowiązki gospodarza. Strój, kąpiel i pokój godny królowej czekają na panią. Spotkamy się przy kolacji.

Hope chciała krzyknąć „Wybij to sobie ze łba!”, lecz w porę się powstrzymała. Potrzebowała czasu, aby wszystko przeanalizować. Uniosła wysoko głowę i oświadczyła:

- Znakomicie.

Kiedy schyliła się po plecak, Anso DeLeon oświadczył z zimnym uśmiechem:

- Plecak zostaje tutaj.

Hope krew odpłynęła z twarzy.

- Mój bagaż zabieram z sobą.

Anso pstryknął palcami. Do pokoju weszło dwóch osiłków. Jeden chwycił ją za ramię, drugi złapał plecak.

- Do zobaczenia na kolacji.

J.T. zatrzymał się dopiero, gdy zyskał pewność, że nikt już go nie goni, i ciężko dysząc, padł na ziemię. Znowu znajdował się w dżungli i znowu nie wiedział, jak się z niej wydostać. Hope została w łapach zbirów.

Nie miał wyjścia, lecz czuł potworne wyrzuty sumienia. Najgorsze jednak było to, że ona myśli, że zostawił ją na pastwę losu. Nie uratuje jej, jeśli oboje będą martwi. Odwołanie się do rozsądku zawsze jest najlepszym lekarstwem na emocje.

Wyciągnął telefon i zadzwonił do Teagana, lecz odezwała się tylko poczta głosowa, co znaczyło, że brat zapewne już jest w powietrzu. W takim razie on musi tkwić w miejscu, usiłować przeżyć i czekać, aż go znajdzie. Potem razem odbiją Hope i znikną.

Pozostawanie na ziemi nie było jednak całkiem bezpieczne ze

względu na drapieżniki. J.T. wspiął się na potężne drzewo i w końcu znalazł miejsce, gdzie w rozwidleniu gałęzi mógł spędzić noc. Dodatkowo przywiązał się lianami do pnia.

Kiedy się już jako tako umościł, zamknął oczy i starał się o niczym nie myśleć. Od czasu do czasu popadał w drzemkę. Nie miał pojęcia, kiedy osaczyły go wspomnienia najgorszych momentów życia.

- Buntownik. Możesz przystępować do akcji. - W słuchawkach zabrzmiał głos oficera z centrum dowodzenia.

- Tu Buntownik. Widzę cel - zameldował.

Samolot bojowy ciął powietrze niczym gorący nóż masło. Misja, jaką miał wykonać, była łatwa, lecz ściśle tajna. Głęboko w pustyni Afganistanu odkryto kryjówkę jednego z liderów Al-Kaidy. Szwadron J.T., Wiedźmy, otrzymał rozkaz zlikwidowania kryjówki. Straty wśród ludności cywilnej miały być ograniczone do minimum.

J.T. nie zastanawiał się. Nacisnął przycisk.

- Lis Dwa wkracza do akcji. Powtarzam, Lis Dwa wkracza do akcji.

Pocisk samonaprowadzający uderzył celnie. Ale...

Ale wywiad wojskowy się pomylił. Pocisk wystrzelony przez J.T. w środku nocy zmiotł z powierzchni ziemi niewielką wioskę. Wszyscy mieszkańcy zginęli we śnie.

Sąd wojskowy oczyścił J.T. z winy, lecz wyrzuty sumienia pozostały. Koledzy nie mogli zrozumieć, dlaczego aż tak ciężko przeżywa ten incydent.

„Wojna to wojna”, mówili. „Ludzie giną”.

„Nie wstąpiłem do wojska, aby zabijać bezbronnych cywilów, niewinne kobiety i dzieci”, odpowiadał.

„Może nie byli tacy niewinni? Wywiad twierdzi, że pomagali temu skurwielowi. Mają, na co zasłużyli”.

Zrezygnował ze służby. Zawsze myślał, że do końca życia będzie latał i umrze za sterami.

Cóż, widocznie inny los był mu pisany.

Dlaczego właśnie dzisiaj przypomniała mi się tamta straszliwa noc? Może dlatego, że zamiast słuchać Teagana, przyjął zlecenie Hope w nadziei, że za zarobione pieniądze uratuje Błękitne



Przestworza?

A teraz siedzi przywiązany lianami do drzewa w amazońskiej dżungli, czekając na Teagana, który pewnie w ogóle nie przybędzie z odsieczą.

Kurczę, jeszcze jego w to wciągnął.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Hope wpatrywała się w sukienkę, którą miała na siebie włożyć, i zastanawiała się, czy to nie żart.

Sukienka była niemal całkiem przezroczysta. A fason w stylu lat czterdziestych. Czy ten wariat myśli, że dołączy do jego haremu z dżungli?

Do pokoju weszły dwie Brazylijki w bardzo skąpych strojach i zmarszczyły brwi, widząc, że ich podopieczna jeszcze się nie przebrała.

- Pan DeLeon będzie niezadowolony, że nie doceniłaś jego prezentu - odezwała się starsza i wydeła usta. - Zaraz ci pomożemy. On nie lubi, jak mu się każe czekać.

- Niech czeka do końca świata - odparowała Hope. - Nie włożę tego. Wszystko przez nią widać. Poza tym nie mam ochoty na kolację z panem DeLeonem. Zjem tutaj.

Kobiety wymieniły spojrzenia.

- Podobno jesteś wybitnie inteligenta, ale teraz zachowujesz się głupio. Albo pozwolisz nam sobie pomóc, albo pan DeLeon przyśle kogoś innego. Wątpię, czy będzie to osoba tak łagodna jak ja i AnaMaria.

Hope już otwierała usta, aby zaprotestować, lecz zrezygnowała. Perspektywa pomocy ze strony fagasów Anso DeLeona przypawiła ją o gęsią skórkę.

- Zgoda - oświadczyła - ale zapamiętajcie, sprzeciwiam się traktowaniu kobiet jak przedmiotów do zabawy. Do licha, mam doktorat, nie jestem lalką Barbie.

- Mnie twój doktorat nie imponuje. Jesteśmy daleko od Ameryki i tamtejszego stylu życia. Tu rządzi pan DeLeon i lepiej, abyś się pogodziła z tym faktem, bo inaczej dostaniesz takie ciągi, że ta śliczna biała skóra odejdzie ci od kości.

Hope starała się nie okazać strachu przed chłostą, czuła jednak, jak krew odpływa jej z twarzy.

Spojrzała na sukienkę i rzekła:

- Pomóżcie mi ją włożyć.

W mgnieniu oka Brazylijki ubrały, uczesały i umalowały Hope.

- Kiedy się ogarniesz, nie jesteś taka brzydka - stwierdziła AnaMaria ze zdziwieniem. - Biała jak mleko, ale nie najgorsza.

- Dziękuję za komplement - mruknęła Hope.

- Jeśli dasz naszemu panu wszystko, czego chce, będzie cię traktował jak królową. Potrafi być bardzo hojnym kochankiem.

Kochanek!? W życiu!

Łzy napłynęły jej do oczu na myśl o tym, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia. Ten tchórz J.T. uciekł i zostawił ją samą, a wydawało jej się, że kto jak kto, ale on należy do tych, którzy zawsze będą bronić swojej kobiety.

Widocznie nie jest jego kobietą. Po prostu.

Drzwi otworzyły się i zobaczyła dwóch mężczyzn, nie tych, którzy ją tu przywieźli, lecz łudząco do nich podobnych. Gestem wskazali, aby szła za nimi.

Jeśli jeszcze kiedykolwiek spotka J.T., myślała, to zrobi dwie rzeczy: da mu w ryja za to, że ją zostawił, i kopnie w jaja za to, że oddał ją w ręce faceta, któremu się wydaje, że dołączy ją do haremu.

Oto i ona. Jego trofeum. Doktor Hope Larsen. Anso DeLeon wstał i skłonił się szarmancko.

- Wyglądasz olśniewająco - rzekł, ujął jej rękę i pocałował. - Do twarzy ci w tej sukience.

- Nie jest w moim guście. Nie wybrałabym jej na proszoną kolację - odparła. Pozwoliła zaprowadzić się do suto zastawionego stołu. Siadając, zapytała: - Powie mi pan, co mnie czeka, czy mam zgadywać?

Z uporem zwracała się do niego per pan, aby zaznaczyć swój dystans. Anso DeLeon zaśmiał się ubawiony.

- Nie lubisz częściej gadaniny, od razu przechodzisz do rzeczy. Podoba mi się to. Kobieta, która wie, kiedy zamknąć usta, to rzadki skarb.

- Tak samo jak mężczyzna, który wie, że kobiety to nie majątek ruchomy. Już jakiś czas temu przestały nim być.

- Jesteś naiwna, jeśli w to wierzysz - prychnął. Nalał wino do kieliszków. - Dopóki mężczyźni rządzą światem, kobiety zawsze będą traktowane jak ich własność. To wcale nie musi być dla nich nieprzyjemne. Niektóre same o to zabiegają.

- Ja do nich nie należę - odparowała i spojrzała na niego wzrokiem zimnym jak stal. Jej uroda, błyskotliwy umysł, ognisty temperament były bardzo podniecające. - Jestem naukowcem, nie głupią gąską, którą można olśnić bogactwem albo szmatkami. Skąd pan wziął tę sukienkę? Z garderoby gwiazdki filmów porno? Materiału ledwo starczy na pajacyk dla niemowlęcia.

Anso DeLeon zaśmiał się i obrzucił ją lubieżnym spojrzeniem, zatrzymując wzrok na sutkach wyraźnie widocznych przez cienki jak mgiełka materiał.

- Mnie się podoba.

- Ale mnie nie. Nie wstydzę się mojego ciała, lecz chcę sama decydować, komu je pokazuję. Pan nie zasłużył na ten przywilej. I nie zasłuży. - Wzięła głęboki oddech. - Przejdźmy do rzeczy. Dlaczego tu jestem?

Anso DeLeon przygładził włosy.

- Wiesz dlaczego. Potrzebna mi jest twoja wiedza i umiejętności. Tylko ty mi pomożesz osiągnąć to, czego najbardziej pragnę, i przez to stałaś się dla mnie najważniejszą osobą na świecie. Czy to ci nie pochlebia? Kto inny w świecie uczyniłby dla ciebie wszystko w zamian za to, czego cię nauczono? Uważasz mnie za nikczemnika, ale ja jestem zwykłym człowiekiem, biznesmenem pragnącym, aby mój interes kwitł.

- Polowanie na mnie jak na zwierzynę łowną nie jest najlepszym sposobem skłonienia mnie do pomocy.

Anso DeLeon wzruszył ramionami.

- Jestem niecierpliwy. To jedna z moich wad. Kiedy twoja przyjaciółka nie okazała... hm... nie okazała, nazwijmy to, chęci do współpracy, postanowiłem nie popełniać drugi raz tego samego błędu.

Oczy Hope zapalały gniewem.

- Zabił pan moją przyjaciółkę.

- Niestety zostałem do tego zmuszony. Ona, podobnie jak ty, była obdarzona wybitną inteligencją. Jak wszyscy boleję nad jej

przedwczesnym odejściem.

- Pewnie że przedwczesnym. Kto się spodziewa, że zostanie zastrzelony na ulicy...

- Świat to niebezpieczne miejsce - mruknął Anso.

- Jest pan potworem. - Hope otarła łzę. Straciła najlepszą przyjaciółkę. Przeżyła największy szok w życiu. - Nie pomogę panu.

- Proszę nie składać pochopnych deklaracji. - Skinął na służbę.  
- Jesteś głodna i wyczerpana. Zjemy kolację w miłej atmosferze, ciesząc się swoim towarzystwem, a potem może przeniesiemy się w bardziej zaciszne miejsce, żeby się oddawać dalszym przyjemnościom, zanim przystąpimy do omawiania interesów.

- Nie pójdę z panem do łóżka - oświadczyła - więc o ile w tym zacisznym miejscu nie będziemy grać w tryktraka albo czytać książek, będzie się pan musiał zabawiać z jedną ze swoich brazylijskich nadmuchiwanym lalek.

- Zawsze fascynowały mnie kobiety z rudymi włosami. Co za ogień, co za temperament. Wyobrażam sobie, że w łóżku jesteś istnym demonem seksu. Taka perspektywa bardzo mnie podnieca, ale nigdy nie używam siły wobec kobiety. Jednak mam nadzieję, że sama do mnie przyjdiesz. Mam wiele do zaoferowania kobiecie takiej jak ty. Spełnianie wszystkich twoich zachcianek poczytam sobie za zaszczyt. Urodzisz pięknych synów.

Na wzmiankę o synach oniemiała.

- Sy...synów? Niech pan posłucha, nie wiem, w jakiej epoce pan się zatrzymał, ale nie jestem producentką dzieci i nie uważam za zaszczyt, że chce pan zrobić ze mnie pojemnik na płyny biologiczne. - Odsunęła krzesło. - Po tym wszystkim straciłam apetyt - oświadczyła.

Gdy ruszyła do wyjścia, goryle Ansa ją zawrócili.

- Musi się pani jeszcze wiele nauczyć, doktor Larsen, ale chętnie podejmę się roli nauczyciela. - Anso strząsnął serwetkę i rozłożył ją sobie na kolanach. Jego apetyt, nie tylko na kolację, ale i na seks, zaostrzył się. Służący postawił przed nim talerz, na którym leżał krwisty stek z kulkami czerwonych ziemniaków. - Przywykłem otaczać się wszystkim, co najlepsze - oznajmił. - Najlepszy szef kuchni, najlepszy architekt, starannie wyselekcjo-

nowany personel. Tych, którzy są wobec mnie lojalni, hojnie wynagradzam, zdrajców natomiast surowo karzę.

- Gdzie ja się plasuję? - zapytała. - I skąd znał pan Tanyę?

- Wiele okoliczności mi sprzyja, lecz czasami nie wszystko idzie tak gładko, jak bym sobie życzył. Wtedy tracę cierpliwość.

- W świecie rzeczywistym nie wszystko układa się po naszej myśli.

- Może nie po myśli zwykłych ludzi, ale mnie ta reguła nie dotyczy.

- Co czyni pana takim wyjątkowym?

- Pieniądze, doktor Larsen. Mam więcej pieniędzy niż niektóre mniejsze kraje. I dobrze je wykorzystuję. Niemniej są sprawy, których pieniądze nie załatwią, i jest to dla mnie w najwyższym stopniu irytujące.

- Jakie sprawy?

- W głębi amazońskiej dżungli żyje pewne plemię. Z ogromną podejrzliwością odnoszą się do cywilizacji zachodniej, unikają kontaktów ze światem zewnętrznym i bardzo trudno ich wytropić. Zazarcie bronią swojego terytorium.

- Domyślam się, że trudno kupić ludzi, którzy nie znają pojęcia pieniądza. - Hope uśmiechnęła się z wyższością.

Anso DeLeon zignorował tę jawną prowokację. Jeszcze będzie czas dać lekcję tej impertinentce.

- Istotnie. I kiedy ekolodzy odkryją, że czyjaś firma próbuje przenieść plemię w inną część dżungli, nagle okazuje się, że to naruszenie ustawy o ochronie dziedzictwa kulturowego ludów tubylczych.

- Bo to jest naruszenie ustawy - odparła. - Kultura plemienia, które nie miało styczności ze światem zewnętrznym, podlega ochronie. Na ich terenie nie można tym ludziom nic zrobić. - Urwała, krew odpłynęła jej z twarzy. - Ale jeśli wyginą z przyczyn naturalnych...

- Właśnie. Wtedy nie będzie sprawy.

Krzyknęła bezgłośnie i zakryła usta.

- Pan chce użyć tego wirusa jako broni biologicznej, żeby ich wymordować.

- Nazwałem tego wirusa Ręką Boga. Ręka Boga usunie prze-

szkodę stojącą mi na drodze do realizacji mojego najnowszego projektu.

- Jeśli pan myśli, że pomogę wymordować całe plemię, to znaczy, że pan oszalał. - Hope patrzyła na Ansa z odrazą i przerażeniem. - Nie może pan zmieść niewinnych ludzi z powierzchni Ziemi, bo chce pan zarobić jeszcze więcej pieniędzy.

- Dlaczego nie?

- Bo to niemoralne, wbrew prawom natury i... To zwyczajna zbrodnia.

- Stworzyłaś tego wirusa. Czy myślałaś, jak zostanie wykorzystany? Nie. Byłaś odurzona sukcesem. Rozumiem tę siłę, to dążenie. Podczas gdy wielu wygłaszałoby miażdżące sądy, ja podziwiam twoje umiejętności. Wcale aż tak bardzo się od siebie nie różnimy, doktor Larsen.

W kącikach oczu Hope zaczęły się zbierać łzy. Ansa to rozśmieszyło.

- Nie jesteśmy do siebie podobni - szepnęła.

- Kłamstwo nam nie przystoi. Tylko prawda pozwala nam przyznać się, kim jesteśmy. Im szybciej przestaniesz toczyć z sobą walkę, tym szybciej znajdziesz wewnętrzny spokój.

Z poczuciem zwycięstwa w tej potyczce Anso odkroił kęs steku, włożył go do ust i zaczął jeść z rozkoszą.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po koszmarnej stresującej kolacji Hope została odprowadzona do pokoju. Drzwi zamknięto na klucz.

W samotności mogła analizować własne lęki, rozterki i wątpliwości. Najłatwiej byłoby uznać słowa Ansa za brednie szaleńca, lecz oskarżenie, jakie rzucił pod jej adresem, wcale nie było bezpodstawne.

Czy naprawdę nigdy się nie zastanawiała, co będzie, jeśli wirus dostanie się w niepowołane ręce?

Zastanawiała się. I nawet zwierzyła się ze swoich wątpliwości Tanyi, lecz Tanya patrzyła na wszystko chłodnym okiem naukowca.

„Gdybyśmy brali pod uwagę możliwość złego wykorzystania każdego odkrycia, nadal mieszkalibyśmy w jaskiniach ubrani w skóry. Musimy iść do przodu. Dążenie do postępu jest częścią naszej natury i Bogu niech będą dzięki. Co by było, gdyby Edward Jenner przyglądał się biernie, jak ospa zbiera tragiczne żniwo? Dzięki swojej pasji wynalazł szczepionkę i teraz nie musimy się bać choroby dziesiątkującej najmłodszych. Dla mnie jest wielki”.

„To wszystko prawda, ale co my usiłujemy stworzyć?”, zapytała Hope. „Czasami nachodzi mnie lęk, że jeśli wirus znajdzie się w niepowołanych rękach, zostanie użyty do... do niszczenia”.

Tanya spojrzała na nią łagodnym wzrokiem.

„Masz dobre serce. Jesteśmy bardzo blisko przełomu w badaniach. To normalne, że w takiej chwili boimy się sukcesu i wymyślamy straszliwe scenariusze, które mogą zachwiać naszą determinacją w dążeniu do celu. Nie dopuść, aby jakieś głupie skrupuły przeszkodziły ci w dokonaniu najprawdopodobniej największego odkrycia w dwudziestym pierwszym wieku. Większego od internetu, złotko. Naprawdę wiekopomnego”.

„Większego niż internet?”.



„O wiele większego”.

Hope uśmiechnęła się słabo.

„Jestem strasznie przejęta”, wyznała.

„I pomyśl tylko o gigantycznej premii. Wiesz już, na co ją wydasz?”.

Hope zamilkła. W ogóle nie myślała o premii.

„Nie”, odparła. „Ale chyba ją odłożę na emeryturę”.

Tanya prychnęła ubawiona.

„Strasznie prozaiczne plany. Zarobiłaś te pieniądze. Przepuść je. Jedź do Las Vegas albo na jakąś wyprawę, spraw sobie coś bezwstydnie drogiego, co włożysz tylko w Paryżu albo w Mediolanie”.

Hope wybuchnęła śmiechem.

„Dziękuję, nie. Wolę na starość nie być zdana na zasiłek z opieki społecznej tylko mieć własne pieniądze. Co ty zrobisz z premią?”.

„Już ją wydałam”.

„Już?”.

„Spędzę lato na wyspie Mackinac. Wynajmę piękny dom tuż przy plaży, całymi dniami będę czytać, popijać mrożoną herbatę i opychać się pysznymi kanapeczkami”.

Tanya nie pojechała na wymarzone wakacje. Hope otarła łzę z policzka. Anso przyznał się do zamordowania jej i nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia.

Hope zdjęła sukienkę i cisnęła na podłogę. Potem otworzyła szafę i znalazła więcej ubrań, wszystkie w swoim rozmiarze. Ciarki ją przeszły na myśl, że DeLeon kupował je specjalnie dla niej.

Nie będzie jej stroił, jak mu się podoba. Zbuntowała się i położyła do łóżka naga. Wyczerpana, wkrótce zasnęła. We śnie na chwilę mogła uciec od rzeczywistości.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

J.T. pamiętał, że zgodnie z umową ma siedzieć w jednym miejscu i czekać na Teagana, lecz zawód i rozpacz w oczach Hope patrzącej za nim, gdy uciekał, nie dawała mu spokoju.

Wokół panowały ciemności pełne odgłosów dżungli, on zaś wiedział, że jeśli w ogóle miałyby cokolwiek robić na własną rękę, musi poczekać, aż się rozwidni. Zdawał sobie jednak sprawę, że szaleństwem by było wracać w pojedynkę, bez żadnego wsparcia.

Zamknął oczy i próbował zasnąć, lecz daremnie.

Wciąż go nękało pytanie, które prawdopodobnie stanowiło klucz do zagadki: dlaczego znaleźli się w aż takich tarapatach? Co takiego Hope wiezie?

Zanim w końcu zmorzył go sen, postanowił, że tym razem znajdzie odpowiedź.

O pierwszym brzasku wyruszył w stronę rezydencji. Z łatwością znajdował ślady własnych stóp w błotnistym podłożu. Pomyślał, że szczęście jednak mu sprzyja, bo każdy ścigający go mógłby je odkryć tak samo jak tunel z połamanych gałęzi, przez które się przedzierał.

Godzinę później dotarł na miejsce. Strażnicy patrolowali granice posiadłości, lecz było ich niewiele. Znalazł miejsce zasłonięte drzewami, wspiął się na ogrodzenie z siatki i bezszelestnie zeskoczył na wypielęgnowany trawnik. Trzymając się cienia zarosli, podkraść się do budynku. Nagle usłyszał głosy i ukrył się w niszy w ścianie.

- Ta ruda podoba się szefowi. Ładna sztuka, ale po co tyle zachodu? Dla mnie to jeszcze jedna luksusowa dziwka. Wiem, jak z takimi postępować.

- Uważaj, Pacon - odezwał się drugi strażnik. - Trzymaj fiuta w gaciach, bo go stracisz. Szef dostał bzika na jej punkcie. Żadna baba nie jest warta, żeby za nią umierać.

- Dobrze, dobrze. Nie mam zamiaru się do niej zbliżyć. A swoją drogą ciekawe, co jest w tym plecaku. Szef schował go w chłodni.

- Na mój nos lepiej nie wiedzieć. No, wracaj na swoje stanowisko.

Kroki się oddaliły i J.T. ostrożnie wyszedł z ukrycia. Domyślił się, że Hope jest pilnie strzeżona. Żałował, że nie ma broni. Przydałaby się.

Plecak. Cokolwiek w nim jest, musi być trzymane w niskiej temperaturze. Czyli Hope przez cały czas wiozła to coś w jakimś specjalnym pojemniku.

Co to, do cholery, jest?

Dostrzegł nad sobą balkon. Dużo czasu minęło, odkąd ćwiczył wspinaczkę, ale trudno, musi się tam dostać. Zaczepiał koniuszki palców o występy w murze, mozolnie podciągał się do góry, jakoś znajdował oparcie dla czubków stóp. Ból palców rąk i stóp był nieznośny, lecz musiał wytrzymać. Do góry, powtarzał w duchu.

Znajdź Hope.

- W jakie tarapaty wpadłeś tym razem? - zapytał Kirk Addler, kolega Teagana z oddziału do zadań specjalnych, i klepnął go w plecy. - Zrobiłeś jakieś głupstwo i chcesz, żebyśmy ci pomogli się wykaraskać?

Oprócz Kirka na wezwanie Teagana bez wahania stawili się też Harris McGoy i Ty Eden.

- Dzięki, że jesteście. Mam nietypową prośbę.

Harris, rudy Irlandczyk, lubiący wypić i się zabawić, aż klasnął w dłonie.

- Nareszcie! - zawołał. - Odkąd przeszedłem do cywila, umieram z nudów.

Ty, najspokojniejszy z ich paczki i najinteligentniejszy, w milczeniu czekał na wyjaśnienia.

- Od razu przejdę do rzeczy - rzekł Teagan. - J.T. utknął w Ameryce Południowej. Jacyś ludzie na niego polują, ale ja nie pozwolę, żeby mój brat zginął w dżungli amazońskiej.

- Co gnojek spsocił tym razem? - zapytał Harris. - I jakie лихо zanosło go aż tam?

- Złapał kurs, a potem się okazało, że klientkę gonią jakieś zbi-  
ry, i wpadł.

- Cały J.T. Ma chłopak fantazję - mruknął Kirk wcale nie zdzi-  
wiony. - Dziw, że jeszcze żyje. Zawsze balansował na krawędzi.  
Uwielbia ryzyko i za to go lubię.

- Problem w tym, że sam nie dam rady go stamtąd wyciągnąć.  
Wiem, że wciąż utrzymujecie kontakty z ludźmi, którzy pomogą  
nam dostać się tam i wrócić.

- Kiedy to się stało? - zapytał Ty.

- Wczoraj - odparł Teagan. Lukrowanie rzeczywistości nie  
miało sensu.

- Na miłość boską! - wykrzyknął Harris. - Chyba żartujesz!

Teagan doskonale wiedział, że zadanie jest prawie niewykonal-  
ne.

- Nie będę miał pretensji, jeśli odmówicie - odrzekł. - Gdyby  
chodziło o kogoś innego, też bym się w to nie pchał.

- Dostać się tam i wrócić to nie problem. Możemy lecieć na  
tyle nisko, że radar nas nie wykryje. Domyślam się jednak, że  
jeszcze nie powiedziałeś całej prawdy.

- Namierzyłem jego telefon, ale on nie ruszy się bez swojej  
klientki.

- Chodzi o kobietę? - jęknął Harris. - Ten twój J.T. mógłby  
wziąć na wstrzymanie.

- Sytuacja jest skomplikowana - odparł Teagan wymijająco.  
Sam nie znał szczegółów.

- Dla mnie prosta - burknął Harris. - Ten chłopak żadnej nie  
przepuści.

- Zostawmy to. Nie wyjedzie bez niej i kropka. - Teagan spoj-  
rzał na kolegów. - No, podejmiecie się prywatnej misji bez zgody  
przełożonych, za którą nie dostaniecie nagrody? Za to jak się  
uda, będziecie mieli co opowiadać przy kielichu.

- Bez zgody przełożonych? To lubię. - Kirk roześmiał się. -  
Mam zaległy urlop, więc go wykorzystam. A ty, Harris? Wcho-  
dzisz w to?

- Jeśli ty wchodzisz, to ja też - zadeklarował Harris. - Nie bę-  
dziesz mi do końca życia wypominał, że stchórzyłem.

- Kiedy wylatujemy? - rzeczowo zapytał Ty.

Teagan spojrział na zegarek.

- Za kwadrans. Samolot czeka.

- Wezmę kilka kanapek - oznajmił Harris. - Nie wiadomo, czy znajdziemy tam coś do zjedzenia.

Gdy Harris z Kirkiem zniknęli w kuchni, Ty zapytał:

- O co naprawdę chodzi?

- Sam chciałbym wiedzieć. J.T. trafił na jakąś grubszą aferę, inaczej nie ryzykowałby utraty firmy. Kłóciliśmy się. Ja chciałem zamknąć interes, on się sprzeciwiał. I wtedy zgłosiła się ta babka. Pewnie obiecała mu dużo kasy.

- Znam kogoś w tamtejszej ambasadzie. Pomoże nam.

- Dzięki.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Hope z obrzydzeniem wpatrywała się w skąpy top i spodnie, które znowu były prawie przezroczyste. Była wściekła, że Anso traktuje ją jak maskotkę, lecz nie miała wyboru. Mogła albo nosić stroje, które dla niej przygotował, albo paradować nago.

Na pewno nie miałyby nic przeciwko temu, pomyślała. Anso DeLeon prowadzi z nią jakąś grę, której reguł nie rozumiała i dlatego była na słabszej pozycji.

Czy ma zacząć z nim flirtować, aby uspić jego czujność? A jeśli zechce jej dotknąć, pomyślała i aż się wzdrygnęła ze wstrętem. Wciąż miała w pamięci pieszczoty J.T. Pociągnęła nosem, by odpędzić łzy. Nie będzie płakać po tym zdrajcy, który ją zostawił na pastwę losu.

Dwukrotnie ocalił ci życie, zresztą ty jemu też, przypomniał wewnętrzny głos.

Prawie go nie znam. Nie wiem, jaka jest jego ulubiona potrawa ani jaki ma kolor oczu.

Nieprawda. Wiem. Oczywiście ma piwne, podobne do moich, tyle że jego błyszczą zawadiacko, co przydaje mu wdzięku.

Hope wciągnęła powietrze głęboko w płuca i powoli wypuściła. To nie czas na rozpamiętywanie przeszłości. Odsunęła od siebie myśli o J.T. Teraz jest zdana na siebie. Sama musi się ratować, pytanie tylko jak.

Westchnęła z rezygnacją i zaczęła się ubierać. Uznała, że lepiej odgrywać lalkę Barbie, niż oddać swoją wiedzę na usługi szaleńca.

- Wyglądam jak idiotka - mruknęła pod nosem.

- Dla mnie wyglądasz czarująco.

Wydała z siebie stłumiony okrzyk i odwróciła się na pięcie. J.T.! W pierwszej chwili chciała rzucić się mu w ramiona, lecz w porę sobie przypomniała, że ją zostawił.

- Co tutaj robisz? - zapytała surowym tonem.

J.T. uniósł jedną brew.

- Eee... Przybywam z odsieczą. - Zmierzył Hope taksującym spojrzeniem. - Chociaż przyznam, że... że ten widok zbił mnie z pantałyku. Co to za strój?

- Nie ja go wybierałam - syknęła - ale on. To część jego perwersyjnej gry.

Oczy J.T. pociemniały z gniewu.

- Kim on jest?

„Kimś, kto żąda, abym mu pomogła popełnić ludobójstwo!”, chciała krzyknąć, lecz się powstrzymała, bo musiałaby ujawnić zbyt wiele.

- Nazywa się Anso DeLeon. Jest miliardерem i ma za dużo czasu i władzy. Poza tym to szaleniec. Bawi go strojenie mnie jak Barbie. Dla mnie to upokarzające, więc przestań się gapić, jakbyś chciał mnie zjeść.

- Wyglądasz smakowicie - przyznał z westchnieniem. - Posłuchaj - rzekł, przechodząc do rzeczy - musimy stąd zwiewać. Mi-giem.

- Nie ruszę się bez plecaka - oświadczyła z mocą. - Muszę się dowiedzieć, gdzie go schował.

- Nie mamy czasu. - Zaczynał tracić cierpliwość. - Załatwiłem transport, ale najpierw musimy się stąd wydostać.

- Bez plecaka nie.

- Do diabła! - zirytował się. - Oddasz życie za ten cholerny plecak?

Hope z trudem przełknęła ślinę.

- Jeśli będzie trzeba, oddam. - Nie mogła mu wyjaśnić, że na nią spada odpowiedzialność za to, by nikomu nie stała się krzywda, by jej odkrycie nie zostało zamienione w narzędzie zbrodni. - Nie chcę umierać - dodała szybko. - Daj mi czas dowiedzieć się, gdzie jest plecak. Zostań tutaj, dopóki nie wrócę. - J.T. zrozumiał, że dyskusja z Hope jest daremna. - Eee... Dziękuję, że po mnie przyszedłeś.

- Dotrzymuję słowa.

W korytarzu rozległy się kroki. Hope wepchnęła J.T. do przepastnej szafy sekundę przed tym, gdy AnaMaria otworzyła drzwi.

- Kto by pomyślał, że pod tymi podartymi łachami kryje się sek-

sowna bogini? – pochwaliła.

Seksowna bogini? Hope uśmiechnęła się krzywo.

– Dziękuję za komplement – rzekła. Świadomość, że J.T. słyszy tę idiotyczną rozmowę, wprawiała ją w zażenowanie. – Wiesz, jakie są plany na dzisiaj? – zapytała. Chciała, aby J.T. usłyszał informacje, jakie mogły okazać się pożyteczne.

– Nasz pan zaplanował same przyjemności. Zostaniesz członkiem rodziny. Spodoba ci się.

Boże, nie! Hope ogarnęła panika.

– Zdajesz sobie sprawę, że jestem tutaj wbrew własnej woli, prawda?

AnaMaria wyglądała na zakłopotaną.

– Źle cię traktujemy? Nie podoba ci się gościnność pana?

– Niewola jest niewolą, nawet w złotej klatce – Hope wyjaśniła łagodnym tonem, lecz AnaMaria nie była w stanie pojąć, dlaczego Hope jest niezadowolona. – Nie chcę być tutaj, ale pan DeLeon nie chce mnie wypuścić. Na tym właśnie polega niewola.

– On jest taki hojny, kupił ci te piękne stroje... Jesteś niewdzięczna.

Hope poddała się. Pochodzimy z zupełnie innego świata, pomyślała. Może dla dziewczyny takiej jak AnaMaria ten świat to raj na ziemi?

– Nie przywykłam do takiego stylu życia – odezwała się, dobierając słowa. – Nie potrafię się zaaklimatyzować.

– Kiedy tu przyjechałam, też byłam przerażona. Ale pan szybko pokazał mi, że nie mam się czego bać. To bardzo mądry człowiek. I miły, jeśli mu dogadzasz.

A co się dzieje z tymi, którzy mu nie dogadzają?

– Może jednak powiesz mi coś o planach na dzisiaj? – Hope uśmiechnęła się przymilnie. – Lubię przygotować się psychicznie.

AnaMaria pokręciła głową.

– Mam cię zaprowadzić na śniadanie. Nie traćmy więcej czasu i chodźmy.

Gdy weszły do pokoju śniadaniowego, Anso DeLeon uśmiechnął się z zadowoleniem i gestem wskazał Hope miejsce obok siebie. Hope zacięła zęby i usiadła, chociaż wolałaby zachować większy dystans. Tymczasem Anso postukał się w policzek, a AnaMaria



posłusznie go pocałowała. Hope zbierało się na mdłości, gdy na to patrzyła.

- Urocza, prawda? - rzekł Anso, kiedy dziewczyna wyszła. - Amazońska piękność.

- Jeśli się pan spodziewa, że i ja pana pocałuję, to zapewniam, że nigdy tego nie zrobię.

DeLeon zachichotał, strzepnął serwetkę i rozłożył sobie na kolanach.

- Uratowałem ją z jej wioski - odrzekł. - Była brudna i ubrana w łachmany. Chcieli ją wydać za mąż za mężczyznę trzy razy starszego od niej, ale interweniowałem.

- Jak to się odbyło?

- Po prostu zaproponowałem ojcu więcej od tamtego. - Z fałszywą skromnością wzruszył ramionami.

- Ile trzeba zapłacić za młodą dziewczynę?

- AnaMaria kosztowała równowartość dwóch osłów, kozy i świni. Niezbyt dużo.

Hope nie kryła oburzenia.

- Ludzie to nie towar.

- AnaMaria wcale nie jest nieszczęśliwa. Przeciwnie, jest mi wdzięczna. Jej życie byłoby pełne cierpienia aż do śmierci.

- Zamiana jednej niewoli na drugą nie jest wybawieniem. Gdyby pan naprawdę miał na względzie jej dobro, posłałby pan ją do szkoły, a nie kazał sobie usługiwać i nazywać się panem. Wykorzystuje pan biedną dziewczynę, której się zdaje, że złapała Pana Boga za nogi. Ale mnie niech pan takiego kitu nie wciska.

- Twoja żarliwość, pasja i cięty język mi imponują. Jeszcze sama do mnie przyjdiesz. Zaczekam. Tymczasem porozmawiamy o interesach.

Hope ciarki przeszły po plecach.

- O jakich interesach? - zapytała, udając mało rozgarniętą. - Nie mamy żadnych wspólnych interesów. Aha, gdzie jest moja własność? Oczekuję zwrotu plecaka.

- Zawartość plecaka jest pod czujną opieką. Zjedzmy śniadanie. Na głodnego nie można sprawnie myśleć.

Hope jednak nie była głodna. Żołądek miała ściśnięty. Gra, w jaką bawił się z nią Anso, przypominała zabawę w kotka

i myszkę. I to ona była myszką.

- Jestem obywatelką amerykańską. Nie może mnie pan przetrzymywać tutaj wbrew mojej woli.

- Opowiedz mi o swoim towarzyszu. - Anso DeLeon zmienił temat. Odkroił plaster soczystej papai i chwilę rozkoszował się jej smakiem. - Jesteście kochankami?

- Nie pańska sprawa - oświadczyła Hope z godnością, lecz rumieniec na twarzy ją zdradził.

- Czyli tak.

- Moje życie osobiste to moja sprawa.

- Wszystko, co ciebie dotyczy, jest również moją sprawą. Należysz do mnie. Jeszcze to do ciebie nie dotarło?

- Do nikogo nie należę! - wyrzuciła z siebie. - Wszystkie pieniądze świata nie zmienią faktu, że to, co pan robi, jest nielegalne i niemoralne. Przy pierwszej nadarzającej się okazji postaram się pana zniszczyć.

Anso DeLeon zmrużył oczy.

- Radzę uważać, doktor Larsen. Przekonałem się, że kobiety stają się bardziej uległe, kiedy posmakują bata. Nie waham się podnieść ręki na kobietę i przypomnieć jej, gdzie jej miejsce.

Nie blefował. Hope czuła, że użyłby wobec niej przemocy, gdyby uznał, że to go przybliży do celu. Potrzebna jest mu żywa, ale może spełnić swoje zadanie ubrana w wymyślne fatałaszki, jak i oszpecona siniakami.

- Rozwieję twoje złudzenia, że kochanek przybędzie na ratunek. Moi ludzie go znajdą i dostanie kulkę w łeb. Jeśli ci na nim zależy, módl się, żeby cię porzucił, bo gdy ktoś sięga po moją własność, nie znam litości.

Zadrżała ze strachu. Przecież J.T. ukrywa się teraz w jej sypialni. Musi wierzyć, że on potrafi dbać o własne bezpieczeństwo, lecz znajdują się w jaskini lwa i w każdej chwili mogą zostać pożarci.

- On nie jest moim kochankiem, tylko pilotem. Gdyby pańskie zbiry nie próbowały zestrzelić samolotu, nie utknęłabym z nim w dżungli. Zapłaciłam za dowieszenie mnie do laboratorium.

Na twarzy Ansa DeLeona pojawił się nieprzyjemny uśmiezek.

- Uznaję swój błąd. Przypomniałaś mi, że tylko głupcy zakładają

ją z góry, że mają rację.

Hope odwzajemniła uśmiezek.

- Wynajęłam go, więc nie ma potrzeby ścigać go z mojego powodu.

- Owszem, ale co się zaczęło, trzeba dokończyć.

Hope zimny dreszcz przebiegł po plecach.

- To pańskie zmartwienie. Mnie interesuje tylko, gdzie trzyma pan mój plecak. Nie ma pan ani odpowiedniego sprzętu, ani kwalifikacji, aby przechowywać jego zawartość.

Anso DeLeon zdawał się bardzo z siebie zadowolony. Wskazał stół i zaprosił:

- Częstuj się. Cały dzień przed nami. Nie mogę pozwolić, aby najcenniejszy klejnot w mojej kolekcji stracił blask, bo nie zjadł śniadania.

Jedzenie było ostatnią rzeczą, na jaką Hope miała ochotę. Wiedziała jednak, że jeśli chce się stąd wydostać, musi zachować jasność umysłu. Niski poziom cukru we krwi nie sprzyja sprawnemu myśleniu.

Wzięła do ręki widelec. W duchu modliła się, aby J.T. wymyślił sposób, jak wydostać się na wolność.

Tylko nie odgrywaj bohatera, zaklinała w duchu.

Tylko nie daj się zabić dla mnie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Po śniadaniu Anso DeLeon zaprowadził Hope do nowo wybudowanego skrzydła budynku, gdzie w powietrzu unosił się jeszcze zapach gipsu i farby.

- Oto twoje laboratorium - oświadczył z dumą. - Nie szczędziłem kosztów, aby zapewnić ci wszystkie udogodnienia. Ciekaw jestem twojej opinii.

Zszokowana Hope rozglądała się dokoła. Tessara Pharmaceuticals zapewniało badaczom bardzo dobre warunki pracy, ale to, co tutaj zobaczyła, wyglądało jak spełnienie najśmielszych snów.

- Czego pan ode mnie oczekuje? - zapytała.

- Bardzo pilnie śledzę twoje badania. Razem z panią Field złażyście kod i stworzyście wirusa zdolnego do życia, lecz jeszcze nie odkryłyście, jak można go rozprzestrzeniać.

- Bo nigdy nie planowałyśmy jego wykorzystania w taki sposób! - wykrzyknęła przerażona. - Celem badań nie było stworzenie broni biologicznej.

- O święta naiwności! Twoja firma podpisała kontrakty z wojskiem. Ma ścisłe związki z rządem. Dlaczego? Bo chodzi o tajemnice, których należy pilnie strzec.

Hope zeszywniała.

- Nie wiem, o czym pan mówi. Wiem tylko, że nie stworzyłam wirusa po to, żeby mordować ludzi!

- Twoja troska zostaje odnotowana. Czego jeszcze będziesz potrzebowała do aerolizacji? To laboratorium powinno spełniać wszystkie twoje wymagania.

Hope nadal była oszołomiona. Czy on naprawdę wierzy, że wykona jego rozkazy? Prędzej umrze.

- Może pan mnie zmusić do noszenia tych absurdalnych szmatek, ale nie do pomocy w ludobójstwie.

- Przekonałem się, że uroda i inteligencja rzadko chodzą w parze, lecz ty jesteś zaprzeczeniem tej tezy. Nie chciałbym uszko-

dzić twojej pięknej skóry, ale dla osiągnięcia celu nie zawaham się tego uczynić.

- Nie rozumiem? - Hope nadrabiała miną. - Sądzi pan, że bi-  
ciem zmieni pan moje poglądy? Myli się pan.

Anso DeLeon wyciągnął rękę, chcąc pogłodzić ją po policzku,  
lecz się uchylila.

Zmrużył oczy.

- Daję ci jeden dzień do namysłu. Mam swoje metody perswa-  
zji. Kilka ćwiczeń edukacyjnych pomoże ci zmienić zdanie. -  
Pstryknął palcami i natychmiast do laboratorium weszło dwóch  
potężnie zbudowanych mężczyzn w białych kombinezonach. -  
Zabierzcie ją do sali gimnastycznej. Zaraz tam przyjdę.

Mężczyźni chwycili Hope pod pachy i nie zważając na jej krzy-  
ki i wierzganie nogami, wywlekli z laboratorium.

- Pamiętaj, nie ma nic wstydliwego w błaganiu o przebaczenie,  
moja ty piękna gołąbeczko - Anso DeLeon zawołał za nią. - Cze-  
kam na chwilę, kiedy te słodkie słówka padną z twoich ust.

Hope ogarnęło straszliwe przeczucie, że sala gimnastyczna nie  
ma nic wspólnego z wychowaniem fizycznym. J.T., na pomoc!

Nie zamierzał cały dzień siedzieć w szafie. Zdołał się zoriento-  
wać, że rezydencja jest tak ogromna, że można się w niej zgubić  
i że jest tu mnóstwo pustych pokoi, które w razie potrzeby mogą  
służyć za kryjówkę.

A co do ochroniarzy i strażników, to na miejscu Ansa DeLeona  
wszystkich natychmiast by zwolnił.

Zsunął się z balkonu po murze i miękko wylądował na trawie.  
Potem, trzymając się ścian, okrążył dom. Starał się zapamiętać  
jak najwięcej szczegółów otoczenia.

Nagle usłyszał przeraźliwe krzyki. Zimny dreszcz przebiegł mu  
po plecach. Puścił się pędem w stronę, skąd dochodziły. Przy-  
rzekł sobie, że jeśli coś złego stanie się Hope, gołymi rękami ro-  
zerwie oprawców na części.

- Puście mnie! Puście! - Hope darła się, co sił w płucach. -  
To, co robicie, jest wbrew prawu!

Na zbirach jej protesty nie robiły żadnego wrażenia. Wepchnę-

li ją do jakiegoś pomieszczenia i zatrzasnęli drzwi. Potem zakuli ją w kajdanki i powiesili za ręce na haku w suficie. Cały ciężar ciała opierała na koniuszkach palców u stóp i wtedy ból w przegubach był odrobinę mniejszy.

W pomieszczeniu zwanym salą gimnastyczną znajdowały się straszliwe narzędzia tortur świadczące o tym, że Anso DeLeon jest sadystą. Potworem.

Nie zawaha się zabić każdego, kto stanie mu na drodze.

Tanya tak zrobiła i dlatego nie żyje. Łzy napłynęły Hope do oczu, serce przepełnił strach.

Drzwi otworzyły się i do celi wszedł Anso DeLeon z miną zdecydowaną, lecz uprzejmą. Tak wygląda socjopata, pomyślała Hope.

Zbliżył się do niej, dotknął jej naprężonych boków, przesunął dłonie w dół i oparł na biodrach.

- Masz rozkoszną figurę, kobietą, krągłą, lecz szczupłą. Doktor Larsen jest pełna intrygujących sprzeczności.

- Co pan robi? - zapytała drżącym głosem.

Mimo panującego gorąca strużka zimnego potu spływała jej po plecach.

Teraz Anso wyciągnął rękę, a jego ludzie natychmiast podali mu długi skórzany bat.

- Silna kobieta, podobnie jak koń, musi być ułożona i wytrenowana, aby właściwie reagować na polecenia pana.

- Nie jesteś moim panem! - wypaliła. - Jesteś socjopatą z kompleksem Boga. A to nie czyni cię panem niczego i nikogo!

Rękojeścią bata pogładził jej policzek.

- Przypominasz mi jedną. Ona też była tak samo uparta i piękna. Módl się, abyś nie podzieliła jej losu. - Powolnym krokiem ją okrążył. - W jej przypadku winien był młody wiek. Brakowało jej doświadczenia, które pozwoliłoby jej zrozumieć, że została pokonana. Jesteś bardzo inteligentna. Wierzę, że szybko się uczysz. - Zamilkł i uśmiechnął się. - Dam ci jednak trochę czasu do namysłu. Zostawię cię z twoimi myślami, zanim przystąpię do tresury. Na pewno podejmiesz właściwą decyzję.

- To znaczy?

Uśmiech znikł z twarzy Ansa DeLeona.

- Będiesz wykonywać moje polecenia.

Z tymi słowami wyszedł, a jego ludzie za nim.

Hope została sama. Straciła czucie w dłoniach, palce u nóg miała zdrętwiałe. Pomyślała o Tanyi. Tanya oddała życie, ale nie uległa. Jeśli taka jest cena za ochronę świata przed skutkami ich wynalazku, poniesie ją.

Nagle drzwi celi otworzyły się bezszelestnie i do środka wśliznął się J.T. Ostrożnie zamknął drzwi na klucz i w kilku susach znalazł się przy Hope. Zdjął ją z haka, objął i przytulił. Z płaczem przywarła do niego.

- Pakujesz się w najgorsze sytuacje - szepnął. - Zaraz zdejmę ci te kajdanki. - Znalazł klucz, uwolnił jej ręce i energicznie roztarł dłonie, przywracając krążenie. - Zabiję tego drania. Wpakuję mu kulkę między oczy i nie poczuje najmniejszych wyrzutów sumienia. - Pocałował ślady na jej przegubach. - Możesz iść?

W odpowiedzi kiwnęła głową. Wiedziała, że muszą jak najszybciej stąd zniknąć. J.T. wziął ją za rękę i ruszył przodem. Z domu wymknęli się tylnymi drzwiami, potem przeszli przez siatkę. Gdy Hope obejrzała się za siebie, J.T. natychmiast odgadł, o czym myśli.

- Wrócę po twój cholerny plecak. Spadamy.

Teraz już wierzyła, że dotrzyma słowa.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

J.T. wiedział, że musi zachować przytomność umysłu, lecz rozsądzała go furia. Zabije tego drania!

Hope potknęła się i upadła, rozdierając cienką nogawkę spodni.

- Psiakrew! - zdenerwowała się. - W tym stroju czuję się jak idiotka!

- Gdyby nie groziło nam śmiertelne niebezpieczeństwo, z przyjemnością bym go z ciebie zdjął - aksamitnym tonem rzekł J.T., objął ją, przytulił i pocałował.

Moment był nieodpowiedni, lecz uznał, że skoro wkrótce mają umrzeć, odrobina pieśczęt im się należy.

Hope żarliwie oddała pocałunek, potem oderwała usta od warg J.T. i szeptem zapytała:

- Powinniśmy? To chyba nie jest rozsądne...

- Rozsądek zawsze bierze w tobie górę? - zażartował, chociaż wiedział, że ma rację.

Biegli więc dalej, aż znaleźli się na tyle daleko, że J.T. uznał, iż może bezpiecznie zadzwonić do Teagana. Kiedy odezwała się poczta głosowa, wziął to za dobry znak. Teagan jest w drodze.

- GPS pozwoli mu nas namierzyć - wyjaśnił. - Teraz musimy znaleźć jakąś kryjówkę, siedzieć cicho i czekać.

- DeLeon będzie nas szukał - odparła. - Czy uda nam się długo ukrywać przed nim i jego ludźmi?

- Nie mamy wyboru. Nikomu nie możemy zaufać. Musimy zostać w dżungli.

Hope jęknęła.

- To i tak lepsze od tamtej celi.

- Chyba najwyższy czas, żebyś się przyznała, co wiesz w tym plecaku.

Zasłużył na to, by się dowiedzieć, po co ryzykuje życie.

- Zamierzałam ci powiedzieć, ale szukałam odpowiednich słów.



A później... Nie chciałam, żebyś mnie osądzał.

- Dlaczego miałbym cię osądzać?

Hope wzięła głęboki oddech, potem zaczęła:

- Pracuję w dziale wirusologii Tessara Pharmaceuticals. Razem z moją szefową, Tanya, stworzyliśmy najbardziej niszczycielskiego wirusa w dwudziestym pierwszym wieku, posiadającego zdolność upodabniania się do każdego znanego patogenu, jaki się mu wszczepi.

- Zaczekaj. To znaczy, że ten wirus może stać się wirusem Ebola albo ospy, albo...

- Tak.

Wpatrywał się w nią osłupiały.

- Cały czas miałaś to z sobą? Po co w ogóle produkować coś tak niebezpiecznego?

Tego pytania najbardziej się obawiała.

- Istnieją pozytywne zastosowania naszego odkrycia. Taki był nasz cel. Jeśli wirus ma zdolność stania się patogenem, to może również stać się nośnikiem bakterii zwalczającej raka. Wyobraź sobie wszystkie możliwości.

- Racja, ale czy nie pomyślałyście, że jeśli wiadomość o tej potencjalnej bombie biologicznej przedostanie się do ludzi pokroju DeLeona, to za wszelką cenę będą chcieli ją zdobyć?

- O tym nie pomyślałyśmy - przyznała. - DeLeon zarzucił mi naiwność i pewnie miał rację. Tanya i ja byłyśmy zbyt przejęte naszym osiągnięciem, aby dostrzec wszelkie konsekwencje. Czy teraz uświadamiam sobie mój błąd? Och tak. Trudno jednak komuś z zewnątrz wyjaśnić stan euforii, w jakim się znajdowałyśmy.

Widziała, że na J.T. jej wyznanie zrobiło piorunujące wrażenie. Ale to przecież jeszcze nie wszystko.

- DeLeon chce za pomocą tego wirusa wymordować całe plemię tubylcze, które stoi na drodze jego planów. Odmówiłam wykonania jego poleceń.

- W jaki sposób chciał tego dokonać? Skazić wodę do picia czy co?

Hope pokręciła głową.

- Wirus musi zostać poddany aerozolizacji. To najskuteczniejsza metoda rozprzestrzenienia go. Zbudował dla mnie najnowo-

cześniejsze laboratorium, ale powtarzam, odmówiłam. Dlatego postanowił mnie edukować za pomocą bata, aż zrozumie powody, dla których powinnam z nim współpracować. – Teraz przyszła kolej na najgorsze. – Gdybyś się nie zjawił, to... – zająknęła się – to obawiam się, że mogłabym ulec – dokończyła.

J.T., choć wciąż targany mieszanymi uczuciami, objął ją i przyciągnął do siebie.

– Jesteś dzielna. Nie zapominaj o tym. – Nie zasługiwała na pochwały, lecz wtuliła się w niego, chłonąc poczucie bezpieczeństwa, jakie dawał jej zapach jego ciała, ciepło i bliskość. Trwali tak objęci, aż w końcu J.T. pocałował ją w czubek głowy i odsunął od siebie. – Zasadnicze pytanie brzmi: Co teraz zamierzasz zrobić z wirusem? Musisz go zniszczyć.

Trafił w sedno.

– Ten wirus to dokonanie mojego życia. Tanya zginęła z jego powodu. Nie mogę ot tak wyrzucić tej pracy do śmietnika. Poza tym to nie moja własność. Dlatego wiozę próbki do laboratorium Tessara Pharmaceuticals. Myślałyśmy z Tanya, że tam będą bezpieczne. Lepiej chronione.

– Jesteś pewna, że DeLeon jest jedynym człowiekiem spoza firmy, który chce je przechwycić?

– Chyba tak. Co sugerujesz?

– Skąd wie o twojej pracy? Wasze badania były, jak zakładam, ściśle tajne.

Hope pokiwała głową z namysłem.

– Przyznał, że śledził nasze badania. Ktoś z firmy musiał dostarczać mu informacje.

– To znaczy, że kret wciąż działa. Kto ma dostęp do dokumentacji?

– Nie wiem. Prawdopodobnie ktoś na samej górze. Moją bezpośrednią szefową była Tanya. Niewykluczone, że jej szefowa miała wgląd w raporty.

– Kto to?

Hope pokręciła głową.

– Niemożliwe, żeby to była ona. Pracuje w firmie od lat. Nie posunęłaby się do tego.

– Jak się nazywa? Mój kumpel, Ty, zna komputerowców, którzy

potrafią włamać się do każdej bazy danych.

- Deirdre Ellison. Nie możecie grzebać w jej życiorysie. A jeśli się pomylicie?

- A jeśli nie? - zapytał. - Jeśli ktoś z twojej firmy maczał w tym palce, nadal nie jesteś bezpieczna. Twój wirus również nie. Możesz go zniszczyć w jakiś inny sposób?

- Do tego potrzebny jest wyspecjalizowany sprzęt laboratoryjny, odpowiednia temperatura i ciśnienie. Przeprowadzenie tego rodzaju procesu w amatorskich warunkach jest zbyt niebezpieczne.

- Coś wymyślimy. - Ujął jej twarz w dłonie i wargami przywarł do jej ust.

Pozwoliła się całować do utraty tchu. Splotła język z językiem J.T., poddała się rytmowi. Potrzebowała tej bliskości nie tylko dla poczucia bezpieczeństwa, lecz dla zaspokojenia tęsknoty kiełkującej w niej głęboko, której jednak nie była gotowa analizować.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

J.T. usłyszał warkot nisko lecącego samolotu i aż zeszywniał z napięcia, lecz gdy uważniej przyjrzał się maszynie, uśmiechnął się szeroko. Teagan!

Delikatnie potrząsnął Hope. Obudziła się z głośnym okrzykiem:

- Co się dzieje?

Wskazał niebo.

- Odsiecz przybywa. - Wstał, potem pomógł jej podnieść się z ziemi. - Chodź, musimy iść za nimi. Teagan wylądował na jakiejś polanie, ale jeśli my go usłyszeliśmy, to ludzie DeLeona również.

Przeszli kawałek wzdłuż trajektorii lotu i po chwili znaleźli małą polanę ukrytą wśród zarośli i widoczną tylko z góry. Samolot wylądował, drzwi otworzyły się i Kirk, Harris oraz Ty kolejno zeskoczyli na ziemię. Jako ostatni w drzwiach pojawił się Teagan.

J.T. podbiegł i go uściskał.

- Dawno tak nie ucieszyłem się na twój widok. Nie wiedziałem, czy ci się uda nas znaleźć.

- Człowieku małej wiary! Myślałeś, że cię tu zostawię? Pamiętasz Afganistan? - Teagan spojrział na Hope, która trzymała się z boku. - Rozumiem, że jesteś tą tajemniczą klientką, która wpakowała mojego młodszego braciszka w tarapaty. - Wyciągnął do niej rękę. - Teagan Carmichael. Miło mi.

- Mnie też - wymamrotała Hope i rzuciła J.T. niepewne spojrzenie. - Dzięki za przybycie nam z pomocą.

J.T. wiedział, że wymagałby od kumpli brata zbyt wiele, gdyby oczekiwał, iż nie skomentują stroju Hope, lecz gdy zobaczył, że Harris wprost pożera ją wzrokiem, burknął ostrzegawczo:

- Przestań się gapić.

Słyszając to, Teagan klepnął go po ramieniu.

- Spokojnie. - Zrobił zapraszający gest w kierunku Hope. - No, zabieramy się.

- Nie możemy się stąd ruszyć bez mojego plecaka - oświadczy-

ła.

- Co w nim jest? Forsa? - Kirkowi oczy się zapaliły. - A może brylanty, które sprzedamy na czarnym rynku?

Gdy inni sobie z niej żartowali, Ty potraktował sprawę poważnie.

- Zanim wkroczymy na terytorium wroga, musimy zrobić rozpoznanie - oświadczył.

- Facet nazywa się Anso DeLeon. Cieszy się tu mirem, ale wzbudza postrach. Nie wiadomo, komu ufać. Ostatnia osoba, której zaufaliśmy, praktycznie nas mu sprzedała - oznajmił J.T.

- Kłopoty to twoja specjalność - zażartował Kirk. - Ale się nie dziwię. - Mrugnął do niego porozumiewawczo.

Hope zaczerwieniła się, a J.T. już chciał wziąć ją za rękę dla dodania otuchy, lecz zrezygnował, bojąc się, że koledzy brata, zamiast przestać się z niego nabijać, tylko wzmogą atak. Teagan poparł Ty'a.

- Rekonesans jest konieczny. Musimy opracować plan. Mam znajomego w ambasadzie, pomoże nam. Chodźmy, później o tym porozmawiamy. Przy piwku.

- Wrócimy po twój plecak - J.T. obiecał Hope. - Oni mają rację.

- Słowo?

- Słowo.

Dzięki kontaktom z wojska Teagan znalazł nieduży dyskretny hotel. Zanim rozeszli się do pokoi, odciągnął brata na bok.

- Co jest grane? - zapytał. Kiedy J.T. się wahał, dodał: - Wygrzebałem trochę informacji na temat tego Tessara Pharmaceuticals.

- I czego się dowiedziałeś?

- Firma ma podejrzaną reputację. Kilka lat temu krążyły plotki o leku, który wyczyszcza pamięć.

- Co takiego?

- Sprawie szybko ukrecono łeb. Tajemnica wojskowa. Ty nie zdołał dowiedzieć się niczego bliższego. Chcę tylko powiedzieć, że ta firma jest zaangażowana w naprawdę niebezpieczne eksperymenty. - J.T. nie podawał w wątpliwość informacji Teagana. Pasowały do tego, co ujawniła Hope, chociaż wątpił, czy zdawała

sobie sprawę ze wszystkiego, co się dzieje w firmie. – Nie znasz Hope. A jeśli nie stoi po właściwej stronie?

J.T. musiał przyznać, że Teagan myśli logicznie i wyciąga prawidłowe wnioski. Z drugiej strony intuicja mu podpowiadała, że Hope jest uczciwa, a intuicja go jeszcze nie zawiodła, jeśli chodzi o ludzi.

– Ufam jej – odrzekł. – Wóz albo przewóz. Muszę jej pomóc dokończyć misję, z jaką przyjechała. Mogę na ciebie liczyć?

– Jasne. Chciałem tylko oczyścić pole, zanim przystąpimy do akcji.

– Szanse powodzenia są niewielkie.

– Życie w cywilu jest za nudne – odparł brat i klepnął J.T. w ramię. – No, idź do swojej dziewczyny, bo jutro nie wiadomo, co będzie.

Racja.

Kiedy wszedł do pokoju, zastał Hope przy oknie. Była bardzo zdenerwowana.

– Wszystko w porządku?

– W jak najlepszym.

– Twój brat mnie nie lubi.

– Nie zna cię.

Hope zaczęła gryźć paznokcie.

– Nie mam do niego pretensji. Ja też bym nie polubiła kogoś, kto wpakowałby mojego brata w podobne kłopoty.

J.T. roześmiał się, lecz Hope nadal była spięta. Czy on nie zdaje sobie sprawy, że wirus wirusem, a jej po głowie chodzi coś zupełnie innego? Wyczuł jej skrzępowanie i domyślił się przyczyny.

– Przenieś się do brata i jego kumpli, jeśli wolisz mieć pokój dla siebie – zaproponował.

– Nie, nie – odparła pośpiesznie. – Z tobą czuję się bezpieczniej.

– Pochlebiasz mi. – Postanowił skorzystać z okazji i poruszyć sprawę, która zaczęła go dręczyć. – Posłuchaj. Sytuacja jest nietypowa i tak dalej. Po powrocie nie spodziewam się dalszego ciągu. Nie pasujemy do siebie.

On chyba czyta w moich myślach, stwierdziła Hope.

- Nie bardzo - przyznała. Ich oczy spotkały się. - Ale cieszę się, że potrafimy się dogadać.

- Ja też.

Dotknęła włosów i okręciła sobie rude pasmo wokół palca. Przydałby się nam prysznic, pomyślała.

- Ty pierwszy się kąpiesz czy ja? - zapytała.

Najbardziej pragnęła wtulić twarz w jego tors i zlizać z niego pot i brud.

- Mam lepszy pomysł. - Zbliżył się do niej. - Trzeba oszczędzać wodę, więc wykąpiemy się razem.

- Razem? - W jej głosie zabrzmiały dziwne tony. Poczuła, że oblewa ją fala gorąca. - Czy to rozsądne?

- Kochanie, odkąd się ujrzeliśmy, robimy same nierozsądne rzeczy. Po co to teraz zmieniać?

- Może masz rację? - przyznała szeptem i zarzuciła mu rękę na szyję.

Objął ją mocno, przesunął dłońmi po plecach, ścisnął pośladki. Samym dotykiem budził w niej pierwotne instynkty. W ułamku sekundy zrzucili z siebie ubrania. Brud, pot i błoto przyklejone do ciała im nie przeszkadzały.

J.T. oparł Hope o ścianę i ukląkł u jej stóp. Wplotła mu palce we włosy, wysunęła biodra, poddając się pieścizotom języka wprawiającym ją w drżenie. Kolana jej zmiękły, ciałem wstrząsnął dreszcz rozkoszy. To był jednak dopiero wstęp. J.T. nie dał jej ochłonąć, tylko obrócił ją tyłem, rozsunął nogi i szybkim pchnięciem bioder połączył się z nią. Każdy jego ruch wymazywał wspomnienia bólu i strachu, aż istniał dla niej tylko on i ekstaza, do jakiej ją doprowadzał.

Tulił do siebie śpiącą Hope. Powinien być wyczerpany po nocnych wyczynach i również spać, lecz nie mógł zmrużyć oka.

Hope stworzyła wirusa zdolnego zniszczyć ludzkość. Na szczęście teraz usiłuje go unieszkodliwić. Był pewien, że podczas ataku na rezydencję DeLeona nie zechce stać z boku. Ich rozmowa będzie wyglądała mniej więcej tak:

„Posłuchaj, chcę, abyś dla własnego bezpieczeństwa została w hotelu”, powie on.

„Nie”, krótko odpowie ona.

Objął ją ciaśniej i przyciągnął do siebie. Westchnęła przez sen. Czy mu się to podoba, czy nie, Hope stała się częścią niego. Jego wirusem.

Zaraziła go czymś, czego nie potrafił się pozbyć. Nigdy się nią nie nasyci. Nigdy nie pocałuje wystarczająco mocno, nigdy nie będzie się z nią kochał wystarczająco długo. Nigdy się z niej nie wyleczy.

Wszystko rozstrzygnie się jutro. Może żadne z nich nie przeżyje?



## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Dżdżysty poranek nastroił Hope pesymistycznie. Atak na siedzibę Ansa DeLeona to szaleństwo, które skończy się śmiercią wszystkich, myślała.

J.T. jednak nie zamierzał się poddawać.

- Kiedy sprawy źle się mają, człowiek ma okazję sprawdzić, z jakiej gliny jest ulepiony - stwierdził z uśmiechem. Hope umknęła wzrokiem. - Hej, o co chodzi?

- To szaleństwo - odparła, ścisząc głos, aby inni jej nie słyszeli. - Nie wyjdziemy z tego cało.

- Czemu bojaźliwi jesteście, małej wiary? - zacytował.

Hope westchnęła z desperacją.

- Przestaniesz żartować? Ja mówię poważnie. Nie chcę, żebyś zginął przeze mnie. Nie zniosłabym tego.

W tej chwili mogła się zdobyć tylko na takie wyznanie, lecz doskonale ją zrozumiał. Objął ją i szepnął:

- Teagan i jego kumple sprawiają wrażenie fajtłap, ale to najgroźniejsi, najlepiej wyszkoleni komandos, jakich nasza armia posiada albo posiadała. Wierz mi, jeśli ktokolwiek może sforsować siedzibę DeLeona, to tylko oni. Nikomu innemu nie powierzyłbym twojego bezpieczeństwa.

Hope spojrzała kolejno na Harrisa, Kirka, Ty'a i Teagana i nagle pojęła, że J.T. jest taki sam jak oni.

- Dlaczego odszedłeś z wojska? - zapytała. Zastanawiała się, czy powie jej prawdę.

- Bo się zorientowałem, że staję się kimś, kim nie chcę być.

Nie dopytywała o szczegóły. Teraz najważniejsze, że jest przy niej. On i jego przyjaciele.

- Mam fotograficzną pamięć - rzekła. Chciała być pomocna. Nie chciała być tylko ciężarem. - Pamiętam każdy szczegół z laboratorium, łącznie z kodem, jakiego DeLeon użył, otwierając drzwi. Będę wam potrzebna do zabrania plecaka.

Obrzucił ją spojrzeniem wyrażającym respekt.

- Coś mi mówi, że z tobą lepiej nie grać w żadne gierki.

- Nigdy nie przegrywam.

- Kim jest ten facet, którego wszyscy się tak boją? - zapytał J.T.

Camille Jackson, pracownica ambasady, zmarszczyła brwi.

- Zadarliście z niewłaściwą osobą. DeLeon jest popularny, powszechnie lubiany, ale jednocześnie wszyscy się go boją. Ma mnóstwo pieniędzy. Wspiera szkoły, ale także policję. Nie wspomnę o tym, że w Brazylii nie ma kobiety, która nie oddałaby nerki za to, by zostać jego żoną.

Na J.T. te informacje nie robiły wrażenia.

- Jest niebezpieczny. Porwał Hope. Usiłował zestrzelić nasz samolot. Niech mu budują pomniki, ale to gangster.

- Rozumiem, że raczej nie możemy liczyć na pomoc miejscowych władz - wtrącił Teagan.

Camille kiwnęła głową. Minę miała zmartwioną.

- Sprawia wrażenie dobroczyńcy, lecz krążą też potworne historie o bezprawiu, jakiego się dopuszcza. Trzeba tylko znaleźć dowody. A on ma tyle kasy, że będzie wam bardzo trudno.

Teagan gestem powstrzymał J.T., który szykował się do riposty, i powiedział:

- Nie zrezygnujemy. Coś wymyślimy.

- Ciekawe co? - J.T. nie wytrzymał. - Ja już się wyprztykałem z pomysłów.

Ku ich zaskoczeniu Camille wskazała nowy trop.

- Znam kogoś - odezwała się ściszym głosem - kto ma poważny zatarg z DeLeonem. Jeśli ktokolwiek zgodzi się z wami współpracować, to tylko on. - Szybko zapisała na kartce nazwisko i adres. - Ten mężczyzna przyszedł do mnie w zeszłym roku. DeLeon uprowadził mu córkę i wszelki słuch o dziewczynie zaginął. Zgłosił sprawę policji, lecz nic nie wskórał. Nie będą kasać ręki, która ich karmi. Niestety ja nie mogłam mu pomóc. On zrobi wszystko, aby się dowiedzieć, co się stało z jego córką.

J.T. i Hope wymienili spojrzenia, potem J.T. schował kartkę do kieszeni.

- Dziękuję. Tylko dlaczego przyszedł do ambasady amerykańskiej? Ma obywatelstwo?

Camille pokręciła głową.

- Nie. W tamtym czasie spotykaliśmy się i kiedy policja odmówiła zajęcia się sprawą jego córki, zwrócił się do mnie. Nic nie mogłam zrobić i w końcu napięcie narastające między nami zniszczyło nasz związek. Ale to dobry człowiek i szczerze ufam, że odnajdzie córkę albo dowie się prawdy o jej losie.

- To straszne - szepnęła Hope ze współczuciem. - Dziękujemy za pomoc.

- Jesteśmy wdzięczni - wtrącił J.T. - Domyślam się, że udzielając nam informacji, wiele pani ryzykuje.

- Powodzenia. Żałuję, że nie mogę zrobić nic więcej.

Harris, Kirk i Ty czekali na nich w kawiarni.

- Wiemy już jaki mamy plan? - zapytał Harris.

J.T. zrelacjonował im rozmowę z Camille Jackson, na koniec rzekł:

- Musimy znaleźć tego zdesperowanego ojca.

- Nie rozumiem, dlaczego taki bogacz porywa dziewczynę - rzekł Harris. - One same lecą na forszę.

- Nie wszystkie. - Hope zgasiła go spojrzeniem.

- Przepraszam.

- Nie traćmy czasu - odezwał się Ty. - Jedźmy do niego. Jeśli ktoś się zorientuje, że wędzimy wokół DeLeona, możemy nie zdążyć się stąd zwinąć.

J.T. słuchał opowieści Ricarda Garcii i krew się w nim burzyła.

- To była dobra dziewczyna, pomagała mi po śmierci matki. Przyrządzała najlepsze *pão de queijo* na świecie. - Ricardo Garcia otarł oczy. - Lubiała kupować świeże zioła na targu i właśnie tam ją sobie upatrzył.

- Anso DeLeon?

Ricardo potwierdził ruchem głowy.

- Była piękna. Piękna i dobra. Bałem się o nią.

- Co się wydarzyło?

- Ludzie mówili, że widzieli, jak DeLeon z nią rozmawia na tar-

gu. Z początku jej to imponowało. Opowiadała mi o nim. Przestrzegalem, że bogacze nie żenią się z biednymi dziewczynami. Co my moglibyśmy mu dać? Radziłem, żeby go unikała. Coś mi mówiło, że nic dobrego z tego nie wyniknie. Nie wierzyłem, że on ma uczciwe zamiary, i miałem rację. Świadkowie powiedzieli, że jacyś mężczyźni siłą wsadzili Carinę do samochodu. Później już nikt jej nie widział. Wiem, że DeLeon stoi za jej porwaniem. Poszedłem na policję, ale mi nie pomogli. Powiedzieli, że taki bogacz nie musi porywać kobiet, bo same się za nim uganiają. Ale ja wiem, że moja Carina nigdy by mnie nie zostawiła. To była dobra córka.

- Ile lat miała Carina?

- Siedemnaście.

J.T. zaklął. Podczas misji w różnych krajach napatrzył się na nieszczęścia i zło. Hope wyciągnęła rękę i nakryła jego dłoń. Ricardo Garcia znów otarł łzy z oczu.

- Pomogę wam - oświadczył. - Ale uprzedzam, zabiję go własnymi rękami. Nie próbujcie mi przeszkadzać.

Teagan i J.T. wymienili spojrzenia. Hope milczała.

- Ma pan z nim swoje porachunki - rzekł J.T.

Nie ich sprawa osądzać zrozpaczzonego ojca. Anso DeLeon to człowiek wyzuty z zasad i nie zawraca sobie głowy etycznymi skrupułami. Spotka go los, na jaki zasługuje.

- Macie broń? - zapytał Ricardo Garcia.

Teagan kiwnął głową.

- W porządku. Znam sposób dostania się na teren posiadłości. Od roku dopracowuję swój plan, ale nie mogłem go zrealizować w pojedynkę. Jeśli wy macie broń, to ja mam plan.

- Los nam siebie zesłał, bracie - uznał Kirk. - Stęskniłem się za słodkim zapachem prochu o poranku.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

J.T. postanowił spędzić ostatnie godziny przed akcją z Hope. Wiedziała, że dręczą go pytania, że przeżywa rozterki, ale teraz nie była w stanie niczego wyjaśniać. Cieszyła się jednak z jego decyzji, bo po traumatycznych przeżyciach ostatnich dwudziestu czterech godzin pragnęła bezpieczeństwa jego ramion.

Gdyby mogła, najchętniej uciekłaby z tego przeklętego miejsca i zapomniała, że kiedykolwiek postawiła stopę na tej ziemi. Zapomniała o wirusach. Zapomniała o Ansie DeLeonie. Zapomniała o jego zbrodniczych zamiarach. Jednak nie mogła. Dziś wszystko się rozstrzygnie...

Dość! Hope wyłączyła myślenie.

- Pocałuj mnie - szepnęła, gdy J.T. z czułością kładł ją na łóżku.

Jego pocałunki były delikatne i wzruszające do łez. Oboje wiedzieli, jaka jest stawka, lecz wiedzieli również, że nie mogą się cofnąć. Hope poddała się pieścizotom. Zmysłowe doznania przeniosły ją w inny wymiar. Na kilka błogosławionych chwil zatraciła się w rozkoszy.

- Uzależniłem się od ciebie - oznajmił. - Nie wiem, czy kiedykolwiek się tobą nasycę.

W odpowiedzi jeszcze mocniej wtuliła się w niego, ponagłając, by połączył się z nią, by stali się jednym ciałem. J.T. poruszył czułą strunę w jej sercu. Jest niesamowity, myślała. Przed światem ukrywa swoje prawdziwe ja. Miała okazję poznać, jaki jest - gotowy do poświęceń, do ryzyka dla praktycznie nieznanym kobiecie. Za to go ceniła, lubiła...

Gdy uświadomiła sobie, jakim torem biegną jej myśli, przeraziła się, że popełnia jeszcze większy błąd niż przyłożenie ręki do stworzenia najgroźniejszego wirusa świata.

Od miejscowego agenta nieruchomości, który znał kogoś w firmie, która wybudowała rezydencję DeLeona, zdobyli plany posia-

dłości. Nie za darmo, oczywiście, lecz było warto.

- Powtórzmy po kolei, co robimy - zarządził Teagan. - Kirk i Harris idą ze mną i zajmujemy południowe skrzydło. Ricardo, J.T. i Ty atakują od północy, torując Hope drogę do laboratorium. Ten obszar - urwał i pokazał na planie - jest najtrudniejszy do opanowania. Nie można wykluczyć, że od czasu waszej ucieczki wzmocniono strażę i sprowadzono psy. Spróbujcie dostać się do środka jak najszybciej i jak najciszej. Nie dajcie się zabić, ale postarajcie się nie strzelać niepotrzebnie. Pamiętajcie, tam mogą być osoby przetrzymywane wbrew ich woli.

- DeLeon jest mój - przypomniał im Ricardo Garcia. - Jeśli sprawy pójdą niezgodnie z planem, nie czekajcie na mnie. Wiem, jaka jest stawka. Cokolwiek się stanie, sama szansa zabicia tego drania mi wystarczy. Pogodziłem się z moim Bogiem. Radzę wam zrobić to samo.

Samochód zostawili w zaroślach i dalej poszli piechotą. Zgodnie z przewidywaniami strażnicy z psami patrolowali granice posiadłości, lecz, jak odkrył Teagan, jedno miejsce na styku działki z dżunglą pozostawało niepilnowane.

J.T. dotknął ramienia Hope. Słowa nie były potrzebne.

Przeszli przez siatkę i bezszelestnie zeskoczyli na trawę. Zgodnie z planem mieli teraz znaleźć bezpieczne miejsce i zjechać do północy.

Dla Hope czekanie było najgorsze, lecz kiedy w końcu wybiła północ i jak cień skradała się za J.T., żałowała, że opuścili kryjówkę. Gdy J.T. zabił strażnika, odwróciła głowę. Powtarzała sobie jednak w duchu, że to konieczność. Albo my, albo oni. Nie chciała umierać.

Dotarli do laboratorium. Zapamiętanym kodem otworzyła drzwi. Wewnątrz skierowała się prosto do komory chłodniczej. J.T. pilnował wejścia.

Nie miała jednak czasu założyć kombinezonu ochronnego, czego wymagał regulamin każdego laboratorium. Szybko odnalazła plecak, potem umieściła fiolki w specjalnym pojemniku, zamknęła go, schowała do plecaka i wróciła do J.T.

Właśnie wtedy rozległy się strzały.

- Ukryj się - polecił J.T. - Sprawdzę, czy chłopakom nic się nie stało i wrócę tu po ciebie.

- Nie! - Uczepiła się jego ramienia. - Błagam, nie odchodź!

- Zaraz wrócę. Sprawdzę tylko, czy mój brat jest cały.

- Nie chcę się rozdzielać.

Hope słyszała panikę we własnym głosie, lecz było jej wszystko jedno. Nie zostanie tu sama!

J.T. chyba się domyślił, że nie wygra, bo zaklął i przestał się upierać. Pobiegli w stronę, skąd dochodziła kanonada. Ominęli ciała kilku zabitych strażników i zaraz potem zobaczyli czterech Amerykanów pędzących im naprzeciw. J.T. wykonał w tył zwrot i dołączył do towarzyszy. Sforsowali ogrodzenie, dopadli terenówki. Dopiero kiedy ujechali spory kawałek, J.T. zapytał:

- Gdzie Ricardo? - Sadząc z tonu jego głosu, znał odpowiedź.

- Zginął.

- Błagam, powiedzcie, że któryś z was zabił tego drania DeLeona - odezwała się Hope.

- Ricardo go zastrzelił.

- Sprawiedliwości stało się zadość.

Przed tą wyprawą Hope opowiadała się za dożywotnim więzieniem zamiast kary śmierci, ale teraz zmieniła zdanie. Żli ludzie zasługują na śmierć.

Co ze mną? - pomyślała nagle. Czy DeLeon nie miał racji, zarzucając mi hipokryzję? Czy nie chowałam głowy w piasek i nie chciałam zastanawiać się nad zbrodniczym potencjałem wirusa, który stworzyliśmy z Tanya?

Odpowiedź ją przeraziła. Dotarcie do laboratorium, gdzie będzie mogła zniszczyć szczep, stało się jeszcze bardziej palącą potrzebą.

- Musisz mnie zawieźć do laboratorium - zwróciła się do J.T.

- Rozumiem, że nasze wakacje się przedłużają - odezwał się Kirk.

J.T. i Teagan wymienili spojrzenia.

- Musimy skończyć, co zaczęliśmy.

Hope zamknęła oczy i starała się zapanować nad biciem serca. Zniszczy szczep wirusa i wszystko naprawi.

Amen.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Kirk i Harris zostali w hotelu, a Teagan, Ty i J.T. pojechali z Hope do laboratorium. Hope nie protestowała, wiedząc, że nic by to nie dało. Wyboista droga zasłana śmieciami zniechęciłaby zwykłych turystów, lecz Hope twierdziła, że nie zabłądzili.

- Przed wyjazdem z Kalifornii nauczyłam się mapy na pamięć. Na wszelki wypadek.

Po godzinie jazdy dotarli do bramy. Hope podała Teaganowi kod. Brama otworzyła się.

- Nie ma ochrony? - zdziwił się Ty. - Coś mi tu brzydko pachnie.

- Wszystko w porządku - zapewniła go Hope. - Brama jest pod napięciem. Każdy, kto nie zna kodu i zechce ją sforsować, spali się na węgiel.

- Dobrze wiedzieć - mruknął Ty.

Zaparkowali na prawie pustym parkingu.

- Dziwne - odezwał się Teagan. - Wygląda, jakby zwinęli interes.

Hope poczuła się nieswojo.

- Powinno być więcej ludzi... Wejście jest tam. - Włożyła kartę magnetyczną do czytnika, drzwi otworzyły się z cichym kliknięciem. - Komora chłodnicza, w której przechowywane są wirusy, jest na najwyższym piętrze. Tak samo jak w Kalifornii. Chodźmy...

J.T. wyciągnął pistolet. Teagan i Ty zrobili to samo. Kompleks sprawiał wrażenie wymarłego, chociaż prądu nie wyłączono. J.T. nie ufał jednak windzie, poszli więc na górę schodami.

Hope znowu wsunęła kartę magnetyczną do czytnika, drzwi otworzyły się, lecz tylko odrobinę, jak gdyby za nimi znajdowała się jakaś przeszkoda. J.T. błyskawicznie wysunął się do przodu i mocno pchnął jedno skrzydło drzwi. Teagan i Ty ubezpieczali go z obu stron.



W laboratorium panowała martwa cisza. Na podłodze, tuż za drzwiami, w kałuży krwi, leżało ciało mężczyzny w białym fartuchu.

- O Boże! - wyrwało się Hope. Dwie inne ofiary, mężczyzna i kobieta, zginęli przy swoich stanowiskach pracy. - Co tu się działo?

- Coś złego - stwierdził Ty. - Zabierajmy się stąd, zanim nastpnicy wrócą.

- Nie rozumiem... DeLeon nie żyje. Kto mógł to zrobić? - Hope wpadła w panikę i spojrzała na J.T. - Muszę zawiadomić Deirdre. Na pewno są jakieś procedury. W tym pomieszczeniu obowiązują podwyższone standardy higieny... - Urwała i podbiegła do szafy. Wyjęła biały kombinezon i szybko go na siebie naciągnęła. - Muszę sprawdzić, co się stało z próbkami patogenów. Wy tu zostańcie.

- Zastanów się - rzekł J.T. ściszym głosem. - A jeśli te wirusy są teraz w powietrzu?

- Kombinezon mnie zabezpiecza.

- Niech idzie - wtrącił Teagan. - Tylko ona wie, co robić.

- Zgoda. - J.T. wiedział, że sprzeciw na nic się nie zda. - Masz dwie minuty, potem stąd spadamy.

Hope założyła kaptur, zakryła twarz maską i weszła do komory chłodniczej.

- Nie podoba mi się to - J.T. zwierzył się bratu.

- Ktoś zniszczył próbki - oznajmiła Hope, wracając. - Nic nie zostało.

- Zniszcz swoje - zasugerował J.T. - Inaczej będziesz żyła w ustawicznym strachu, że ktoś wykorzystuje twoje wirusy w niecznych celach.

Taki był pierwotny plan, lecz Hope nagle zaczęła się wahać.

- To dzieło mojego życia. Nie tylko mojego, ale również Tanyi. Poza tym próbki nie należą do mnie, tylko do Tessara Pharmaceuticals.

- Nikomu nie jest potrzebna tego typu władza nad światem. Na pewno nie twojej firmie - skontrował J.T.

- Zdecyduj się - wtrącił Teagan. - Czas ucieka.

Hope spojrzała na J.T. Z jego oczu wyczytała nieme błaganie:

Zniszcz te próbki.

- Macie rację. - Chwyciła plecak, naciągnęła na głowę kaptur z maską i zniknęła w chłodni.

W komorze chłodniczej Hope znowu osaczyły wątpliwości, czy postępuje słusznie.

Chodzi nie tylko o dzieło jej życia. Wirus może przynieść wiele złego, ale również wiele dobrego.

J.T. kwestionuje jej zamiar skontaktowania się z Deirdre, ale ona musi wiedzieć, co się dzieje w laboratorium, które jej podlega. A jeśli to nie Deirdre jest kretem i nie orientuje się, że ktoś w tajemnicy śledzi ich badania? Poza tym wirus jest własnością Tessara Pharmaceuticals. Jeśli go zniszczy bez pozwolenia, straci pracę, a niewykluczone, że wyłąduje w więzieniu.

Czy to aż tak wysoka cena za zrobienie tego, co należy?

Tanya zapłaciła życiem.

Hope westchnęła i ostrożnie wyjęła fiołki z pojemnika. J.T. ma rację. Ich zawartość jest zbyt niebezpieczna.

Włożyła fiołki do autoklawu, zatrząsnęła drzwiczki, przekręciła zamek i nacisnęła przycisk. Teraz już nie było odwrotu. Nikt nie odkryje, co zrobiła, bo wspólnie z Tanya tak prowadziły notatki, aby wynikało z nich, że wszelkie dotychczasowe wysiłki spełzły na niczym. Jedyne fizyczne dowody, że odniosły sukces, właśnie został unicestwiony. Ale zapis procesów biochemicznych na zawsze zostanie w pamięci Hope.

Wyszła z komory chłodniczej, zdjęła kombinezon, wrzuciła do zsypu do spalarni i wróciła do laboratorium.

- Zrobiłam to - oznajmiła. - Proces niszczenia trwa godzinę, ale fiołki nie są oznakowane. Nikt się nie zorientuje, co w nich było. Pomyślą, że kiedy tu rozpętało się piekło, ktoś przytomny starał się zniszczyć jakieś toksyczne mikroorganizmy.

- To trzyma się kupy - odparł Teagan. - Zbierajmy się, póki czas. Ci zbrodniarze mogą wrócić.

- Jeszcze jedno - rzekła Hope, podchodząc do telefonu.

- Co robisz? - J.T. stał się nieufny.

- Użyłam swojej karty magnetycznej, aby się dostać do środka. Wszystko jest rejestrowane, więc jeśli się nie odmelduję i nie

zgłoszę, co tu zastałam, wzbudzę podejrzenia.

- Racja.

Hope przełknęła ślinę i zadzwoniła do Deirdre. W Kalifornii był właśnie środek nocy.

- Stało się coś strasznego - zaczęła z nieudawanym przerażeniem w głosie i opowiedziała, w jakim stanie znalazła laboratorium. - Nie wiem, co robić!

Deirdre, jak zawsze rzeczowa, zapytała:

- Ale ty jesteś bezpieczna?

- Chyba tak. Ktokolwiek dokonał napadu, zniknął przed moim przyjściem.

- W porządku. Zawiadomię odpowiednie służby. Uciekaj. - Po tych słowach Deirdre rozłączyła się.

Hope z ulgą posłuchała rozkazu.

- Zbierajmy się, zanim zmieni zdanie! - krzyknęła i cała czwórka pędem pobiegła na parking.

Następnego dnia rano J.T. obudziły smakowite zapachy. Hope była już ubrana.

- Przed hotelem rozłożył się uliczny sprzedawca. Chłopaki zjedli i żyją, więc sądzę, że i my nie musimy się obawiać zatrucia żołądkowego.

Spojrzał na Hope. W krótkiej białej sukience podkreślającej figurę, z włosami wysoko upiętymi, wyglądała jak bohaterka erotycznego snu.

- Co jest na śniadanie oprócz ciebie? - zapytał. - Pachnie to niesamowicie.

- Nic nadzwyczajnego. Tortilla z chorizo i jajkiem.

- Mniam, mniam.

Hope roześmiała się i wręczyła mu burrito. J.T. zauważył dziwny wyraz jej oczu i zapytał:

- Wszystko w porządku?

- Tak - odparła z promiennym uśmiechem, lecz była wyraźnie zdenerwowana. - Smakuje?

- Pycha. Na pewno nic ci nie jest? Wydajesz się spięta.

- Właściwie masz rację. Jestem spięta. Musimy porozmawiać.

Miał nieprzyjemne uczucie, że wie, do czego Hope zmierza.

Sam przecież przeżywa rozterki. Coś się między nimi zaczęło, coś znacznie głębszego niż wzajemne pożądanie. Ta noc była inna niż poprzednie. To nie był tylko seks. To było spotkanie dwojga ludzi, którzy się...

Nie wierzył w miłość od pierwszego wejrzenia. Pożądanie tak, ale miłość? Takie rzeczy zdarzają się tylko w powieściach.

To dlaczego nie upominasz się o honorarium, odezwał się wewnętrzny głos. Zależało ci na forsie, a teraz jest ci wszystko jedno?

Zakochałeś się w tej mądrali. Gratulacje.

Wszystko nas różni, myślał. Tylko w łóżku tworzymy szaleńczy tandem. Poza tym...

Weźmy pierwszą kwestię z brzegu. Zakaz posiadania broni. Ona jest za, ty przeciw, na dodatek posiadasz niezły arsenał. Globalne ocieplenie? Ona się tym przejmuje, tobie to, prawdę mówiąc, zwisa. Do kanapek musztarda czy majonez? Dla ciebie musztarda zawsze i do wszystkiego. Na widok majonezu...

A najgorsze jest to, że ona w ogóle się nie zastanowiła, że jej wirus w niepowołanych rękach oznacza zagładę. Było jej wszystko jedno? Dlaczego?

To pytanie cały czas miał z tyłu głowy, lecz nie czuł się na siłach je zadać. Nie teraz.

- Jakie są dalsze plany? - zapytał.

- Wczesnym rankiem, kiedy jeszcze spałeś, zadzwoniła Deirdre. Firma boi się złej prasy. Załatwili sprawę szybko i po cichu. Według Deirdre napadu dokonała miejscowa policja. Chcieli skraść chemikalia, z których zamierzali wyprodukować narkotyki. To dlatego nie zginęły naprawdę groźne substancje.

- No, no. Głupi przestępcy kontra Tessara Pharmaceuticals, zero do jednego.

- Jeśli nie liczyć zabitych pracowników naukowych. Tę rundę Tessara przegrała.

- Racja.

- Najważniejsze, że nikt nie pyta, co ja tam robiłam. Wciąż mam posadę i nie grozi mi więzienie. Ale nie mam poczucia wygranej.

Hope westchnęła ciężko, zdradzając swój stan ducha. J.T. do-

skonale ją rozumiał. Trudno napawać się zwycięstwem odniesionym za taką cenę.

- Cieszę się. - Nie kłamał. Nie chciał, aby Hope spotkały kłopoty, szczególnie gdy kierowała się szlachetnymi pobudkami. - Co z nami? - wyrwało mu się.

Hope umknęła wzrokiem w bok.

- Z nami? To znaczy...

- Mam na myśli naszą umowę. - Skoro Hope udaje, że nie wie, o co chodzi, niech już tak będzie. - Straciłem samolot.

- Ach tak. Tak, oczywiście. Tessara Pharmaceuticals pokryje moje wydatki. Wyjaśnię Deirdre, co się stało. Ona załatwi dla ciebie czek. Nie powinno być z tym trudności, szczególnie że nie chcą nagłaśniać sprawy.

- Zamierzasz dalej dla nich pracować?

- To porządna firma. - Hope przybrała postawę obronną. - W naszych laboratoriach powstają preparaty, które nie mają sobie równych. A jeśli kiedyś odkryjemy lek na raka? Dlaczego nie miałabym w tym uczestniczyć?

- A jeśli odkryją sposób zamieniania ludzi w półmałpy? Ich eksperymenty są niebezpieczne.

- Nie bądź śmieszny - zachnęła się. - Poza tym to nie twoje zmartwienie. Zapłacę tyle, na ile się umówiliśmy. I dodatkowo za samolot. Tessara zwróci mi za bilet powrotny. Ty i twój brat możecie lecieć osobno, jeśli wolicie.

- Znowu Tessara. Nie zapominaj, że to oni zafundowali ci te wątpliwe emocje.

- Nie oni, tylko Anso DeLeon.

- Tak? Tylko kto przekazał mu informacje o waszym projekcie? Wciąż nie rozwiązaliśmy tej zagadki. To musiał być ktoś z firmy, więc nie jesteś bezpieczna.

Hope jednak nie chciała słuchać żadnych argumentów, nawet najbardziej logicznych.

- Doceniam wszystko, co zrobiłeś. Dopilnuję, żebyś otrzymał zapłatę za rzetelną usługę i rekompensatę za poniesione straty. Wezwałam taksówkę. Chciałam tylko - zawahała się - pożegnać się jak należy.

Jak należy?

- Dzięki. Bardzo to uprzejme z twojej strony. Burrito to napiwek za kilkakrotne ratowanie twoich czterech liter?

Hope połknęła łzy, które napłynęły jej do oczu.

- Dlaczego robisz trudności? Chciałam być miła. Pomyślałam, że będziesz głodny.

- Byłem, ale się nie spodziewałem, że razem z burrito poczęstujesz mnie takim kitem.

- To nie jest kit.

- Właśnie że jest. - J.T. wstał, podszedł do Hope i ujął jej twarz w dłonie. - Pleciesz bzdury, bo nie chcesz mówić o tym, co dla nas dwojga jest naprawdę ważne.

Chciała zaprzeczyć, lecz zamknął jej usta pocałunkiem.

- Nie uważasz, że po tym, co wspólnie przeżyliśmy, zasługujemy na wzajemną uczciwość i szczerłość?

- Staram się być szczerą - odparła. - Nie widzisz, że tak będzie lepiej?

- Tylko z pozoru. Zapomniałaś, że coś ci nadal grozi? Jeśli myślisz, że po tym, jak narażałem swój tyłek, żeby ratować twój, puszcze cię samą, to się mylisz.

- Dam sobie radę.

- Nie rozumiesz. Zależy mi na tobie i nie chcę, żeby chociaż jeden włos spadł ci z głowy.

- Wiem, że ci zależy. - W głosie Hope zabrzmiała łagodniejsza nuta. - Mnie na tobie też. Staram się zmniejszyć ból, kiedy to... jakkolwiek to nazwiemy, się skończy.

- Nie będziemy się martwić na zapas. Tymczasem proponuję poszukać drania, który stoi za tymi zbrodniami i rozprawić się z nim raz na zawsze. Inaczej będziemy żyli w ciągłym niepokoju, że ktoś chce cię porwać albo zabić.

- Dlaczego?

- Bo albo pracujesz dla nich, albo przeciw nim, a takiego ryzyka nie będą chcieli podjąć.

Hope kiwnęła głową.

- Chyba masz rację. Nie mogę wyjść z szoku, że to się naprawdę zdarzyło. Trzy tygodnie temu byłam bliska dokonania największego odkrycia dwudziestego pierwszego wieku. Teraz boję się

własnego cienia.

- Nie myślałaś o znalezieniu bezpieczniejszej pracy?

Za oknem odezwał się klakson.

- Moja taksówka. Muszę iść.

- Zaczekaj... Wracaj razem z nami. - Nie był gotowy się z nią żegnać.

- Nie mogę. Deirdre nabrałaby podejrzeń.

- To jedyny powód, dla którego lecisz rejsowym samolotem na koszt firmy?

Hope nie odpowiedziała.

- Skontaktuję się z tobą. I dziękuję za wszystko.

Nie chciał jej podziękowań. Pragnął jej.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Lot powrotny przebiegł bez zakłóceń. Widząc, w jakim ponurym nastroju jest J.T., koledzy zostawili go w spokoju. J.T. natomiast wiedział, że nie musi im dziękować za to, że przybyli mu na ratunek. Na tym polega braterstwo. Słowa są niepotrzebne.

Tylko Teagan zapytał:

- Źle się czujesz?

- Jestem wykończony. - Nie kłamał, lecz nie chodziło o zmęczenie fizyczne. Przez całą drogę myślał tylko o tym, z jaką łatwością Hope od niego odeszła. Zazwyczaj to on zostawiał dziewczyny. - Dzięki za wszystko.

- Od czego ma się brata?

- Racja, ale coś mi mówi, że nie wszyscy bracia muszą lecieć do innego kraju, żeby wydobyć frajera z opresji.

- Nie wszyscy. Może zatęsknię za telefonem od ciebie z prośbą o zwykłą pożyczkę - zażartował Teagan, klepnął J.T. w ramię i zapytał: - A teraz na serio, co jest grane?

- Jak sam to rozgryzę, będziesz pierwszy, komu o tym powiem.

- Mam nadzieję, że ona jest tego warta.

- Nie jesteśmy razem. Trochę poboli i przejdzie.

- Mnie nie nabierzesz - odparł Teagan. - Zakochałeś się. Dla zwykłego klienta nigdy byś nie zrobił tego wszystkiego, co zrobiłeś dla niej.

- Pracuje w firmie, która ma kasy jak lodu. Jeszcze mi podziękujesz, jak dostaniemy czek.

- Właśnie, musimy pogadać o Błękitnych Przestworzach, ale... - machnął ręką - później.

Zabawne, pomyślał J.T., że teraz, kiedy dostanę forszę, dzięki której możemy wyjść na prostą, już mi na niczym nie zależy. Ogarnęło go śmiertelne zmęczenie, lecz musiał wiele spraw przemyśleć. Wiedział jednak, że w domu, gdzie Teagan z kolegami oblewają sukces, nie znajdzie spokojnego miejsca. Poszedł



więc do swojej ciężarówki i usiadł w kabinie. W pewnej chwili usłyszał sygnał nadejścia esemesa.

*3212 Sutton Avenue, apartament 27. Nie dziękuj. Pozdr. Ty*

- Dobra robota, Ty, arcyhakerze - mruknął J.T. pod nosem i schował komórkę do kieszeni.

Mimo że miał już adres Hope, coś go powstrzymywało. Nie chciał się zachowywać jak natrętny prześladowca. Postanowił, że kilka dni odczeka.

Może mu przejdzie? Może jeszcze bardziej zatęskni za nią? Sięgnął po butelkę whisky, najlepsze lekarstwo na rozterki duszy.

Hope zanurzyła się w wannie i westchnęła. Ciepła kąpiel koi skołatane serce. Rozstanie z J.T. było najtrudniejszą decyzją w jej życiu, lecz nie chciała brnąć w związek bez przyszłości.

J.T. to zawadiaka lubiący życie luzaka, ona zaś jest singielką, samicą alfa. Zanim przystąpi do działania, musi mieć wszystko zaplanowane w szczegółach.

Dotyczy to również związku z mężczyzną.

Chociaż z chwilą, gdy postawiła stopę na pasie startowym Błękitnych Przystworzy, wszelkie plany wzięły w łeb. I to J.T. potrafił wybrnąć z każdej opresji, na dodatek w najlepszym stylu agenta 007.

Tacy mężczyźni jak J.T., jego brat i koledzy, to gatunek wymierający. A jakim jest cudownym kochankiem. Przeżytych z nim doznań i rozkosznych uniesień nigdy nie zapomni. Powinnam była zostawić mu adres, myślała. Ale wtedy przyszedłby tutaj i... co dalej? Wykluczone.

Pamiętaj, że zawdzięczasz mu życie, odezwał się wewnętrzny głos. Czy go zraniła? Wołała myśleć, że nie, lecz w głębi serca wiedziała, że zadała mu straszny ból. Skąd ta pewność? Bo sama ma złamane serce.

Każdy krok oddalający ją od niego był okrutną męką. Każda noc bez J.T. była wypełniona tęsknotą.

Jutro czeka ją spotkanie z Deirdre. Zda relację, oczywiście mocno okrojoną, z wyprawy do Ameryki Południowej. To ważne dla Tessara Pharmaceuticals i dla firmy ubezpieczeniowej. For-

malny raport pozwoli uzyskać rekompensatę za zniszczone laboratorium i uruchomić wypłaty dla rodzin zabitych pracowników.

Wszystko odbędzie się zgodnie z procedurami.

To dlaczego zamiast odetchnąć z ulgą, wciąż się bała? Nagle przyszła jej na myśl Tanya i łzy napłynęły jej do oczu.

- Brakuje mi ciebie, przyjaciółko - szepnęła.

Woda w wannie ostygła. Hope wstała, owinęła się płaszczem kąpielowym i położyła do łóżka.

Nie mogła zasnąć. Podczas ich rozmów J.T. zasiał w jej umyśle wiele wątpliwości. Czy w Tessara Pharmaceuticals jest kret? Czy grozi jej niebezpieczeństwo?

Bardziej niż kiedykolwiek przedtem żałowała, że nie ma przy niej J.T. Gdzie tu logika?

W naszym związku nie ma logiki, odpowiedziała sobie w myślach. Może to właśnie jest w nim najlepsze?

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Hope weszła do laboratorium i ku swojemu zaskoczeniu zastała tam Deirdre przeglądającą jej notatki. Deirdre co tydzień otrzymywała sprawozdanie z postępu prac jej i Tanyi, więc czego szuka? W pierwszej chwili Hope chciała wyrwać zeszyt z kościstych palców szefowej, lecz na szczęście się opanowała.

- Dzień dobry. Może w czymś pomogę? - zapytała z wymuszonym uśmiechem.

Deirdre zamknęła zeszyt, zrobiła zapraszający gest ręką i rzekła:

- Proszę za mną, doktor Larsen.

W gabinecie Deirdre od razu przeszła do rzeczy.

- Proszę mi opowiedzieć o projekcie, nad którym pracowaliście z doktor Fields przed jej śmiercią.

- Pracowaliśmy nad protokołem C1H4 - Hope starannie dobierała słowa - lecz nie udało się nam złamać sekwencji genowej.

- Żadna z próbek nie była zdolna do życia?

Hope wiedziała, że tak wynikało z jej notatek.

- Niestety nie.

- Po co więc jechała pani do laboratorium w Ameryce Południowej?

- Doktor Fields posłała mnie po próbki wirusa Ebola. Miałyśmy przeprowadzić testy krzyżowe.

- Nie można było tego załatwić kurierem?

- Doktor Fields nie ufała kurierom. Poza tym tak się złożyło, że nigdy nie byłam w Ameryce Południowej i bardzo chciałam pojechać. Udało się więc połączyć przyjemne z pożytecznym.

- Ciekawe.

- Czy naruszyliśmy zasady obowiązujące w firmie?

Zamiast odpowiedzieć Deirdre zapytała:

- Ta wycieczka sporo kosztowała. Może pani to wyjaśnić?

- Oczywiście. Ktoś mnie śledził. Niewykluczone, że ci sami lu-

dzie, którzy napadli na laboratorium. Ostrzelali samolot, którym leciałam, i musieliśmy lądować w Meksyku. Dotarłam na miejsce tylko dzięki pomocy pana Carmichaela, pilota. Czy są jakieś problemy ze zwrotem kosztów poniesionych przez niego?

Deirdre zbyła to pytanie machnięciem ręki.

- Nie, nie ma. Staram się wyjaśnić pewną zagadkę, która mnie intryguje. To bardzo dziwne, że ktoś panią śledził, doktor Larsen. Dlaczego? Po co? Napadu na tamto laboratorium dokonał miejscowy gang. Po co ktoś miałby strzelać do samolotu, którym pani podróżowała? Proszę się nie obrazić, ale przyznam, że nawet ja nie wiedziałam, że razem z doktor Fields pracowałyście nad czymś aż tak ważnym.

Aha, zorientowała się, że fałszowałyśmy raporty, pomyślała Hope. Ich plan przewidywał, że próbki oznaczone jako nieżywotne zostaną zniszczone w laboratorium w Ameryce Południowej razem z odpadami biologicznymi. Jeśli ona wie, że kłamały, po czyjej stronie stanie? W głowie brzmiały jej ostrzeżenia J.T., że w firmie jest kret. Dlatego postanowiła mieć się na baczności.

- Nie wiem, po co ktoś strzelał, ale to było przerażające - rzekła, patrząc Deirdre prosto w oczy.

- Tak, potrafię to sobie wyobrazić. Rozumiem, dlaczego wróciła pani rejsowym samolotem.

- Miałam dość czarterów.

Deirdre przysunęła rozliczenie Hope z podróży służbowej bliżej siebie, podpisała i wręczyła Hope.

- Proszę.

- Dziękuję.

Hope wstała i z uśmiechem odwróciła się w stronę drzwi.

- Zna pani Ansa DeLeona? - Pytanie Deirdre zatrzymało ją w pół kroku.

- Znam nazwisko, ale z nikim go nie kojarzę.

- Pan DeLeon jest patronem nauki. Filantropem, który podarował Tessara Pharmaceuticals wiele milionów na projekty badawcze. Między innymi na wasz projekt.

- Ach tak? Prawdziwy dobroczyńca. - Hope omal nie zadławiła się słowami. - Przepraszam, ale dlaczego mnie pani pyta o niego?

Deirdre złączyła dłonie w daszek.

- Trzy dni temu został zastrzelony. We własnym domu, w Ameryce Południowej. Czy to nie dziwny zbieg okoliczności, że zginął akurat podczas pani pobytu?

- Bardzo dziwny.

- Hm... Świat stracił wielkiego człowieka.

Uwolnił się od niego, Hope poprawiła ją w myślach. Bez niego świat zdecydowanie stał się lepszy.

- Na to wygląda. - Hope poczuła kropelki potu na skroniach. - Czy ma pani do mnie jeszcze jakąś sprawę?

- Nie. Udzieliła pani wyczerpujących odpowiedzi na moje pytania.

- Cieszę się. W takim razie wracam do laboratorium.

- Chciałabym, aby pani kontynuowała badania. Pani notatki wyglądają bardzo obiecująco.

- Oczywiście.

Hope zastanawiała się, jak długo uda jej się fałszować raporty, zanim Deirdre się zorientuje. Może J.T. ma rację, że powinna zacząć rozglądać się za inną posadą?

Szybkim krokiem szła korytarzem. Jej umysł pracował na najwyższych obrotach. Czy Deirdre jest skorumpowana? Czy to, co J.T. mówił o Tessara Pharmaceuticals, jest prawdą? Pracują tu dobrzy ludzie, a Tanya była jedną z najlepszych.

Weszła do łazienki. Chciała побыć chwilę sama i ochłonać. Serce wciąż waliło jej jak młotem. Czowała się osaczona ze wszystkich stron. Jakże pragnęła, aby J.T. był teraz blisko i ją ochraniał! Zawsze była silną kobietą, ale w Ameryce Południowej przekonała się, że dobrze jest mieć przy sobie faceta ze spluwą.

Gdy Deirdre wymieniła nazwisko DeLeona, Hope oblała się zimnym potem. Czy to znaczy, że Deirdre siedzi u niego w kieszeni? Hope żołądek podjechał do gardła. Poczowała się złapana w pułapkę. Co zrobić? Komu zaufać? W którym kierunku się zwrócić?

Ładnie się urządziłam, nie ma co, pomyślała.

J.T. dostał czek pocztą i z obojętną miną przekazał go Teaganowi.

- Miło znaleźć się na plusie - stwierdził Teagan na widok impo-

nującego szeregu zer. Zerknął na brata. - Już od tygodnia masz jej adres - stwierdził. - Dlaczego do niej nie pojedziesz?

- Po co? Nie należę do tych, którzy pchają się tam, gdzie ich nie chcą. Nie będziesz ty, to będzie inna, tak brzmi to powiedzenie?

- Tak, ale do ciebie nie pasuje.

- Nie? Dlaczego?

- Bo z każdym dniem trudniej z tobą wytrzymać. Wczoraj mało mi głowy nie urwałeś, kiedy zapytałem, czy w lodówce została jeszcze jakaś puszka piwa. - To prawda. Nieustannie myślał o Hope, zamiast zapomnieć i ruszyć do przodu, i to go najbardziej wkurzało. - Porozmawiaj z nią. Może coś się zmieniło.

- Co miałyby się zmienić? Hope nie chce być ze mną. Jasno mi to powiedziała. Ona ma tytuł naukowy, a ja jestem tylko pilotem.

- Nie tylko pilotem, ale pilotem myśliwca, który służył w jednostkach specjalnych - sprostował Teagan rozbawiony. - Jeśli tak wygląda miłość, to ja dziękuję.

- Nie jestem zakochany - odparował J.T., chociaż każda myśl o Hope przyprawiała go o ból serca. - Chyba jakieś choróbko mnie dopadło. To dlatego jestem nieswój.

- Nawet wiem jakie. Ugodziła cię strzała Amora. - Teagan roześmiał się z własnego dowcipu, szybko jednak spoważniał. - Duma ci nie pozwala jechać do niej, a nie przekonanie, że ona cię nie chce. Czekasz, aż sama do ciebie przyjdzie, bo wtedy będziesz górą.

- Bzdury.

- Wiesz, że mam rację. Co by się stało, gdyby w tej chwili tu weszła? Kazałbyś jej się wynosić czy zaciągnąłbyś ją do sypialni i kochałbyś się z nią tak, że my wszyscy nie wiedzielibyśmy, gdzie się podział?

J.T. uśmiechnął się mimowolnie. Przypomniawszy sobie tamtą noc w hotelu, kiedy koledzy waleniem w ścianę przypomnieli, że chcą spać.

- Ona mnie nie chce. - Wzruszył ramionami. - Jej strata.

- Nie jestem ekspertem w sprawach sercowych, ale widziałem, jak na ciebie patrzy. A może odepchnęła cię, bo chciała się bronić przed sobą? Może jest tak samo nieśmiała jak ty? - J.T. już chciał

zaprzeczyć, lecz nagle dotarło do niego, że Teagan może mieć rację. Może oboje postępują tak samo? – Jedź do niej. Dowiedz się, co jest na rzeczy. Przestań tchórzyć. Sprawdź, dokąd cię to zaprowadzi.

– A jeśli zaprowadzi mnie na samo dno? Już raz to przeżyłem. Niespecjalnie mam ochotę na powtórkę.

– Nie będę kłamał, tak też może być – odparł Teagan – ale nie musi. Może ona się ucieszy z twojej wizyty? Nie warto zaryzykować?

J.T. zastanawiał się przez chwilę. Serce zaczęło mu bić szybciej na myśl, że zobaczy Hope.

– Przestań się nad sobą użalać i idź po swoją kobietę.

Moja kobieta. Spodobało mu się brzmienie tych dwóch słów. Może Hope też się spodoba?

Jeśli nie, jego serce dozna kolejnego ciosu.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Hope miała świadomość, że ogarnia ją paranoja. Bała się każdego cienia, najmniejszy dźwięk wydawał się zagrożeniem. Przysięgłaby, że zeszłej nocy słyszała, jak ktoś chodzi po salonie, lecz kiedy wstała i uzbrojona w kij bejsbolowy poszła sprawdzić, co się dzieje, wszystko stało na swoim miejscu i nikt się nie czał, by ją zamordować.

Tak, pomyślała, nie ulega wątpliwości, że traci rozum. Nawet w laboratorium cały czas miała wrażenie, że ktoś ją śledzi. O ile dawniej chodziła po korytarzach zaabsorbowana genotypami, teraz rozglądała się na boki, szukając kreta. Jak działa taki kret?

Czy otwarcie węszy i zachowuje się podejrzanie, czy uśmiecha się i częstuje własnoręcznie upieczonym ciastem bananowym jak Yvette z sąsiedniego laboratorium?

Prawie nie spała. Ze zmęczenia ledwo widziała na oczy.

Z końcem zmiany sprzątała stanowisko pracy, odkładała wszystko na miejsce i jechała prosto do domu. Nie zatrzymywała się nawet przy barze dla kierowców, by kupić coś do jedzenia, bo marzyła tylko o tym, aby paść na łóżko i zapomnieć, że jej życie zostało wywrócone do góry nogami. I o bólu przeszywającym jej serce za każdym razem, gdy myślała o J.T.

Kilkakrotnie chciała zadzwonić do biura Błękitnych Przewroży z nadzieją, że J.T. odbierze, lecz zawsze tchórzyła. Co mu powie? „Przepraszam, byłam głupia, ale naprawdę mi na tobie zależy”, albo: „Proszę, wróć i połóż się przy mnie, bo boję się własnego cienia”.

Łatwo by było się oszukiwać, że tęsknota za J.T. to tylko brak poczucia bezpieczeństwa, takiego samego, jakie dawała jej jego bliskość podczas dramatycznych wydarzeń w Ameryce Południowej. Hope wiedziała jednak, że chodzi o coś innego. J.T. ją rozśmieszał, doprowadzał do szału, seks z nim był boski.

Poczucie bezpieczeństwa to tylko dodatek.



Otworzyła drzwi frontowe i poruszając się jak automat, weszła od razu do sypialni. Nie zdążyła dojść do łóżka, gdy poczuła mocne pchnięcie. Straciła równowagę i z okrzykiem przerażenia opadła na materac. Zaczęła gwałtownie kopać i wierzcąc, lecz czyjaś ręka chwyciła jej stopę w kostce i unieruchomiła w żelaznym uścisku.

Chciała wołać „Pomocy!”, ale głos odmówił jej posłuszeństwa. Ktoś pociągnął ją za włosy i zmusił do wstania, potem wbił jej w bok jakiś twardy przedmiot.

- Jeszcze raz mnie kopniesz, suko, a wpakuję ci kulkę. Nie umrzesz od razu, będziesz się zwijać z bólu i błagać o śmierć.

Trzęsąc się z przerażenia, Hope przygryzła wargę. Choć instynkt samozachowawczy nakazywał jej krzyczeć, nie mogła wydobyć z siebie żadnego dźwięku.

- Nie zabijaj mnie - zdołała wyszeptać. - Zabierz, co chcesz, ale nie rób mi krzywdy.

- Co, może masz w domu milion? - prychnął napastnik. - Bo tyle jesteś mi winna. Twój wybryk sporo mnie kosztował.

- Kim jesteś?

- Nie poznajesz mnie po głosie, kochanie? Jestem zdruzgotany. Miałem takie wspaniałe plany dla nas obojga. Chciałem nawet uczynić cię moją żoną. Teraz mam inne plany, mniej przyjemne...

Anso DeLeon! Jak to możliwe?

- Przecież ty - zapomniała, że przedtem konsekwentnie zwracała się do niego per pan - nie żyjesz!

- Przykro mi, że sprawiam ci zawód. Najwyraźniej trudno mi zabić. Teraz ci powiem, jak to będzie przebiegało. Pojedziesz ze mną i grzecznie dokończysz to, co zaczęłaś. Jeśli będziesz się stawiać, zginiesz na miejscu. Tu i teraz.

- Zniszczyłam próbki - oświadczyła.

DeLeon przytknął jej lufę do skroni.

- To pomódl się, aby cię pamięć nie zawiodła. No, ruszaj się!

Po ciemku nikt nie zobaczy DeLeona ciągnącego ją do samochodu, przemknęło jej przez myśl. Ewentualnie weźmie ich za parę zakochanych, mocno objętych.

Łzy napłynęły jej do oczu. Widzisz, dokąd doprowadziła cię duma? Już drugi raz porywa cię szalenciec najwyraźniej mający

przysłowiowe dziewięć istnień. Dlaczego nie słuchałaś, kiedy J.T. ostrzegał cię przed Tessara Pharmaceuticals?

- Postrzelili cię.

- Owszem, ale zatrudniam wspaniałych lekarzy. Powiem jednak, że wkurzyło mnie zabójstwo strażników. Twój przyjaciel zapłaci za to. Usługi lotnicze to niebezpieczny biznes. Wypadki się zdarzają.

Hope serce przestało bić.

- On nie ma z tym nic wspólnego. Zostaw go w spokoju.

- Nikt bezkarnie nie zadziera z DeLeonem, moja panno. A ten, co to robi, musi dostać nauczkę.

- Co zamierzasz zrobić?

- Mam zepsuć niespodziankę? - Anso groźnie zachichotał. - Będzie wielkie bum. Mam nadzieję, że lubisz fajerwerki. - Z tymi słowami wepchnął ją do lśniącej limuzyny Lincoln Town Car.

J.T. podjechał pod dom Hope właśnie w chwili, gdy czarna limuzyna Lincoln Town Car odjeżdżała na pełnym gazie. Włosy zjeżyły mu się na głowie, ogarnęły go złe przeczucia. Co taki wóz robi w tej okolicy o tej porze? I dlaczego ruszył ostro?

Coś mu się tu nie podobało. Pędem wbiegł po schodach na górę. Drzwi mieszkania Hope były otwarte. Gdy w sypialni zobaczył ślady walki, przeraził się. Psiakrew!

Wystukał numer Teagana i z komórką przy uchu puścił się biegiem z powrotem do ciężarówki.

- Ktoś porwał Hope! - krzyczał do telefonu. - Wiezie ją chyba czarnym lincolnem Town Car. Niech Ty sprawdzi kamery przemysłowe na Sutton Avenue przy skrzyżowaniu z Olive i Nabor! Muszę wiedzieć, dokąd jadą!

- Jesteś pewien?

- Jak cholera. Zniknęła. W mieszkaniu są ślady walki.

Teagan już nie zadawał pytań, tylko się rozłączył. Ty zadzwonił prawie natychmiast potem.

- Skręcił w Magnolia Avenue. Jedzie na pełnym gazie. Kieruje się na lotnisko.

- Rozumiem. Potrzebne nam będzie wsparcie. Harris wciąż ma kontakty z tym facetem z FBI?

- Chyba tak.

- Dzwon do niego. Powiedz, co wiemy. Ja gnam na lotnisko, ale jeśli Hope wsiądzie do samolotu, to koniec.

- Zrobię, co się da.

J.T. nacisnął pedał gazu. Musi szybko dotrzeć na lotnisko. W duchu przeklinał siebie i swoją dumę. Dąsał się jak dziecko, a przecież zagrożenie nie zniknęło.

Co ty sobie myślałeś, kretynie? Jeśli coś się stanie Hope... Nawet nie chciał sobie tego wyobrazić.

Przed oczami przelatywały mu obrazy i sceny z ich podróży do Ameryki Południowej. Omal nie wypadł z drogi. Ogarnęło go uczucie bezsilnej złości, pierś ścisnęła jakaś obręcz i nie pozwalała oddychać...

Nie! Znajdę ją! Ocale!

Włącz myślenie! W porządku. Lincoln Town Car. Co to znaczy? Ktokolwiek wynajął limuzynę, ma forszę, czyli nie polecą samolotem rejsowym. Kto ma prywatną flotę? LAX. Kto ma własny samolot? Anso DeLeon.

Ale on przecież nie żyje.

J.T. wrócił myślami do tamtej nocy, kiedy przeprowadzili atak na rezydencję, i uświadomił sobie, że nie widział martwego Ansa. Usłyszał tylko, że Ricardo Garcia go zabił, a potem strażnicy zabili jego. Jedynie Anso może sobie pozwolić na podobną akcję i tylko on ma takie układy, że zaryzykuje złapanie, bo wie, że się wywinie. J.T. znowu zadzwonił do Teagana.

- Sprawdź, który hangar wynajmuje DeLeon.

- Zaraz... - J.T. czekał w napięciu. Na pełnym gazie skręcił w prawo. Znał skrót na lotnisko. - Dwunasty.

- Harris skontaktował się z tym kumplem z FBI?

- Tak. Wyciągnął go z łóżka. Tamten z początku uważał, że to głupi żart, ale w końcu obiecał sprawdzić. Obyś miał rację, bo inaczej Harris spali bardzo pożyteczny most.

- Obym - mruknął J.T.

Przy wjeździe na lotnisko mignął strażnikowi legitymacją pilota. Z daleka zobaczył limuzynę stojącą przy małym prywatnym samolocie biznesowym learjet. Wiedział jednak, że pilot nie wystartuje bez pozwolenia. Na oko ocenił, że ma jeszcze około

dziesięciu minut.

Zaparkował w pewnej odległości, aby go nie zauważono, i dalej biegł. Element zaskoczenia działał na jego korzyść. Widok Hope i drugiej kobiety, która trzymała ją na muszce, wstrząsnął nim. Rozmawiały, lecz nie słyszał słów. Po chwili zobaczył, że z samochodu wysiada Anso DeLeon i wydaje rozkazy swoim ludziom, którzy przenoszą bagaże do samolotu.

J.T. zgrzytnął zębami. Żałował, że wtedy nie upewnił się, że drań naprawdę nie żyje.

Kim jest ta kobieta? Właśnie między nią a DeLeonem wywiązała się kłótnia. DeLeon chwycił Hope za ramię, przyciągnął do siebie. Coś przy tym krzyczał. J.T. podkradł się odrobinę bliżej. Najchętniej natychmiast, wymachując pistoletem, wkroczyłby do akcji, lecz zmobilizował całą siłę woli i trwał w miejscu.

Modlił się, aby wsparcie nadeszło jak najprędzej. Nie chciał odgrywać samotnego bohatera, ale nie mógł dopuścić, by Hope wsiadła do samolotu!

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

- Wiedziałam, że to ty - rzekła Hope do Deirdre, nie zwracając uwagi na to, że palce DeLeona boleśnie wbijają się jej w ramię. - Zawsze miałam cię za zimną sukę, ale nie podejrzewałam, że dasz się przekupić.

Deirdre zignorowała jej obelgi. Z oczami pałającymi zazdrością atakowała Ansa DeLeona.

- Mówiłam ci, że jej nie potrzebujemy - krzyczała. - Mam jej notatki. Potrafię powtórzyć badania bez niej.

- Może tak, może nie. Mnie nie interesują takie dywagacje. Gdybyś potrafiła skopiować rezultaty, nie byłoby nas tutaj, prawda? Ona jedzie i koniec. Jeśli to dla ciebie problem, skarbie, wracaj do domu.

Deirdre zbladła.

- Wiesz, że nie mogę. Postawiłam wszystko na jedną kartę, żeby zdobyć dla ciebie jej notatki. Obiecałeś mnie zabrać.

- Tak, pod warunkiem, że przestaniesz jęczeć i robić sceny zazdrości. - Anso DeLeon był bezwzględny. - Zawsze lubię mieć kogoś w rezerwie.

Gdyby Deirdre nie była potworem w ludzkim ciele, Hope byłoby jej żal, lecz teraz czuła do niej wstręt.

- To ty zabiłaś Tanyę!

- Tanya sama wydała na siebie wyrok - odparła Deirdre i spojrzała na nią miażdżącym wzrokiem.

Dlaczego nie zauważyłam, że ona mnie nienawidzi, pomyślała Hope.

- Dostała szansę, ale ją odrzuciła. Miała skrupuły! A ponieważ to ja złożyłam jej propozycję, musiała zginąć. Żadnych śladów.

- Ty źmijo! - Hope odwróciła głowę i spojrzała na DeLeona. - Idealnie do siebie pasujecie. Dobraliście się w korcu maku.

- Uważaj. W twojej pracy język jest niepotrzebny - odparł ostrzegawczym tonem. Hope skuliła się w sobie. - Szkoda by

było oszpecać tak śliczną buzię. Ale może, jeśli ładnie poprosisz, okaże ci łaskę.

Hope ze wszystkich sił starała się nie rozplakać. Na wspomnienie sali gimnastycznej w rezydencji w dżungli ogarnął ją potworny lęk. Nie mogła zapanować nad drżeniem całego ciała, chociaż czuła wstyd, że nie może splunąć temu zbrodniarzowi w twarz. Pomyślała o J.T. i z jej piersi wyrwał się urywany jęk. Nie, nie da DeLeonowi tej satysfakcji i się nie rozpłaczę.

Dał jej do zrozumienia, że podłożył bombę w hangarze Błękitnych Przestworzy, a ona nie ma jak ich ostrzec!

Teagan, J.T., Kirk, Harris... Wszyscy ryzykowali, aby ją ratować, a ona odpłaca im się biletem do nieba.

- Ty podła kreaturo - syknęła, a Anso DeLeon roześmiał się nieprzyjemnie.

- Chodź. Pilot czeka. - Ruszył w stronę samolotu. Wziął głęboki oddech, jak gdyby rozkoszując się nocnym powietrzem. - Zapomniałem już, jakie to wspaniałe uczucie samemu wykonać zadanie. Mogłem je komuś zlecić, ale cieszę się, że tego nie zrobiłem. Przypomniały mi się młode lata.

- Aha, dlaczego nie dziwią mnie twoje związki ze światem przestępczym? - Hope rzuciła w nagłym przypływie odwagi. - Nie zrobię tego, co chcesz. Prędzej umrę.

- Zdziwisz się, jak silnym bodźcem do działania jest ból.

- A ty się zdziwisz, jak silnym środkiem znieczulającym jest nieważność - odparowała.

Idąca za nimi Deirdre wwiercała lufę pistoletu w plecy Hope. Najwyraźniej DeLeon czynił jej romantyczne obietnice, których teraz wcale nie zamierzał spełnić. Gdyby była inteligentna, pomyślała Hope, wiedziałaby, że gdy tylko opuszczą terytorium Stanów, zabije ją.

W Brazylii on jest królem, a Deirdre nikim.

DeLeon pchnął Hope na schodki. W chwili, gdy stawiała stopę na pierwszym stopniu, rozległy się syreny policyjne i świst kuli, która trafiła Deirdre w nogę.

Deirdre krzyknęła i upadła. DeLeon popychał Hope, lecz wiedział, że teraz ma jedyną szansę, by mu się wyrwać. Zrobi wszystko, by nie wsiąść do tego samolotu!

J.T. czekał do ostatniej chwili, lecz dłużej nie mógł. Policja nie dotrze na czas. Nie zdąży powstrzymać DeLeona przed wejściem na pokład samolotu. A jeśli tym zbirom się uda, nigdy już ich nie złapią.

Precyzyjnie wycelował i wystrzelił, trafiając kobietę w nogę. Upadła na ziemię jak podcięta kosa.

DeLeon pchał Hope na schodki, lecz się opierała. Zaczęli się szamotać. J.T. wykorzystał moment jego nieuwagi i podkradł się bliżej. Ranna kobieta krzyczała, lecz Anso DeLeon zdawał się jej nie słyszeć, zbyt był zaabsorbowany Hope. W pewnej chwili Hope odwróciła się i z całej siły wymierzyła mu cios w szczękę. DeLeon zachwiał się, usiłował złapać równowagę, lecz potknął się o ciało swojej towarzyszki i upadł na plecy.

- Ty suko! - wrzasnął. Chciał się podnieść, lecz Hope bez wahania kopnęła go w twarz. Z nosa Ansa popłynęła krew.

- Hope! - krzyknął J.T.

Z radością i ulgą rzuciła się w jego stronę, lecz DeLeon złapał ją za kostkę. Upadła jak długa.

- Puść mnie, draniu! - Kopała, wyrywała się, krzyczała. Nagle zobaczyła pistolet, który przy upadku wypadł DeLeonowi z ręki. Zdołała go podnieść i wycelować w jego głowę. - Teraz już na pewno nie ożyjesz!

- Spokojnie - rzekł J.T. Podszedł i nakrył jej dłoń swoją. - Policja już jedzie. Nie chcesz go zabić, prawda?

- Chcę - odparła z mocą. - Zasługuje na kulkę. Zasługuje na śmierć za to, co zrobił Tanyi i Carinie, i Bóg jeden wie, ilu jeszcze ludziom. Wiesz, że są go uniewinni!

- Nie uniewinni. Już my się o to postaramy - obiecał. Hope niechętnie opuściła pistolet. - Już dobrze, kochanie...

Wiedząc, że jest bezpieczna, Hope odwróciła się i z łkaniem przytuliła do J.T. Objął ją jedną ręką, w drugiej zaś cały czas trzymał broń wycelowaną w DeLeona i jego pomocnicę.

Nagle Hope zesztyniała i wykrzyknęła:

- Błękitne Przesławca! On podłożył wam bombę! Musisz ostrzec Teagana! Niech ucieka!

Gdy samochody policyjne wjechały na pas kołowania, J.T. właśnie wystukiwał numer brata.

- Ręce na głowę! - Policjant wydawał rozkazy przez megafon. -  
Wszyscy na ziemię!

- To szalenie! Strzelał do mnie! Trafił mnie w nogę! - piskliwym głosem krzyczała Deirdre. - Pomóżcie mi!

- Aresztujcie tego mężczyznę - domagał się Anso DeLeon. Usiłował przejąć kontrolę nad sytuacją. - Pojawił się tutaj i zaczął do nas strzelać!

Hope nie wytrzymała i też zaczęła krzyczeć:

- On mnie porwał! Podłożył bombę w hangarze Błękitnych Przewoźników!

- To wariatka - głośno protestował Anso DeLeon. Leżał twarzą do ziemi, a policjant zakładał mu kajdanki. - Chcę rozmawiać z moim adwokatem.

- To o nim mówisz? - odezwał się mężczyzna w ciemnym garniturze.

Zza jego pleców wyłonił się Harris z łysym uśmiechem na twarzy i zwrócił się do J.T.:

- Wiesz mi dwadzieścia dolarów. Tak, to ten - dopiero teraz odpowiedział na pytanie agenta FBI. Jego głos przebijał się przez harmider, jaki powstał na lotnisku. - Ten człowiek jest skorumpowany do szpiku kości. Forsa uderzyła mu do głowy. Moja mama zawsze powtarzała, że pieniądze rodzą zło. Jak jej mówiłem, że mam duszę na sprzedaż, spuszczała mi manto, poczciwa kobieta. Panie świeć nad jej duszą. To kłamca i zbrodniarz.

Tymczasem przyjechały kolejne radiowozy. Dokoła zaroilo się od policjantów. Po sprawdzeniu, że J.T. nie jest człowiekiem, którego należy aresztować, zabrali Deirdre do szpitala, a Ansa DeLeona na posterunek.

J.T. natychmiast zadzwonił do Teagana.

- W hangarze jest bomba. Nie idź tam. Saperzy muszą ją rozbroić.

- Cóż, to byłby sposób na skończenie z tym interesem - zażartował Teagan. - Wyobrażasz sobie, jakie ubezpieczenie byśmy dostali? Może nie warto wzywać saperów? - Urwał, po chwili zapytał: - Masz dziewczynę?

- Tak. - J.T. mocniej objął Hope.

- To dobrze. Tylko tym razem nie bądź idiotą i nie wypuść jej



z ręki.

- Dzięki za dobrą radę.

- Musisz mnie podrzucić - odezwał się Harris. - Mój kumpel odjechał z tym ptaszkiem.

- Jak ci się udało go przekonać, żeby się ruszył z domu? Ta historia brzmi absurdalnie. Nie pomyślał, że zwariowałeś?

Harris wybuchnął śmiechem.

- Powiedziałem, że jeśli się okaże, że to ściema, może wziąć moją łódź.

Hope zrobiła wielkie oczy ze zdziwienia.

- Założyłeś się o łódź?

J.T. zmarszczył czoło.

- A ty w ogóle masz jakąś łódź?

Harris puścił do niego oko.

- Nie mam, ale ten pajac o tym nie wie. - Stuknął się palcem w skroń. - Główka pracuje. Pamiętaj. Główka zawsze pracuje.

- Nadajesz się na oszusta. Minąłeś się z powołaniem - odparł J.T., lecz Harris się nie obraził. Niewykluczone, że potraktował żart jako komplement.

- Może skoczmy na jednego? Kolejny raz wyszliśmy cało z opresji. Warto to uczcić.

J.T. i Hope wymienili spojrzenia.

- Eee... Może kiedy indziej? - rzekła Hope. - Teraz chciałabym, żeby J.T. zawiózł mnie do domu.

J.T. tylko to chciał od niej usłyszeć. Wręczył Harrisowi dwudziestkę.

- Masz u mnie kielicha, ale wezwij sobie taksówkę, zgoda? - rzekł, wszedł z Hope do ciężarówki i odjechał.

Nie mógł oderwać ust od ust Hope, jakby się bał, że gdy przestanie ją całować, ona zniknie, a on już nie będzie sobą. Przed oczami wciąż miał obraz Hope w żelaznym uścisku Ansa DeLeona, z pistoletem przytkniętym do boku. Musiał jej dotykać, aby sprawdzać, że jest bezpieczna.

Kiedy dotarli do jej mieszkania, Hope wciąż drżała. Objął ją mocno, a ona przytuliła się do niego.

- Byłam taka przerażona - wyszeptała. - Myślałam, że umrę.

Pocałował czubek jej głowy.

- On już nigdy cię nie skrzywdzi - zapewnił.

Kiwnęła głową. Oczy jej błyszczały od łez.

- Pocałuj mnie.

Spełnił jej prośbę, wkładając w ten pocałunek całego siebie. Ogarnęła ich fala pożądania. Trzęsącymi się z niecierpliwości rękami zdzierali z siebie ubrania.

Nigdy nie będę miał dość, pomyślał. Nigdy.

- DeLeon będzie musiał najpierw rozprawić się ze mną, aby dostać się do ciebie - oznajmił.

Z zachwytem wpatrywał się w piersi Hope oświetlone srebrnym światłem księżyca wpadającym przez okno. Nakrył je dłońmi, nachylił się i ssął nabrzmiące sutki. Hope wsunęła palce w jego włosy, cichymi pomrukami odpowiadała na pieszczoty. Nie ufali słowom. Nie potrzebowali ich. Wiedzieli, co czują do siebie.

Ich związek pozornie nie ma sensu, nie może się udać, lecz chemii buzującej między nimi, elektryzującej magii, nie można ot tak zbagatelizować.

J.T. wziął Hope na ręce i zaniósł do sypialni. Padli na łóżko. Przywarł wargami do łona Hope, językiem pieścił wnętrze jej ud, smakował jej słodycz, na nowo odkrywał jej niepowtarzalne piękno, rozkoszował się każdym drgnieniem, jakim odpowiadała, przyspieszonym oddechem, zduszonym okrzykiem.

- To nie fair - skarżył się, gdy szybko, zbyt szybko, przeżyła orgazm. - Co ze mną?

Z uśmiechem zarzuciła mu ręce na szyję i uniosła biodra. Połączyli się. Ścisnęła mięśnie pochwy, przytrzymała go w sobie, wciągnęła jak najgłębiej. W szczytowym momencie wyszeptał jej imię i opadł na nią.

- Jesteś niewiarygodna - szepnął po chwili, całując jej obojczyk. Hope wtuliła się w niego. Jej bliskość była najcudowniejszym doznaniem. - Wiesz, że udało ci się dokonać rzeczy niemożliwej?

- Czyli?

- Oswoiłaś mnie.

Zaśmiała się cicho.

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo po raz pierwszy nie wyobrażam sobie ani pragnienia innej kobiety, ani chęci związania się z inną kobietą. Jesteś doskonała. Nigdy nie sądziłem, że spotkam taką partnerkę jak ty.

- Nie jestem doskonała - odparła. - Zapewniam cię.

- Dla mnie jesteś.

To była prawda. Nie mówił jej komplementów, by sprawić jej przyjemność. To było dla niego całkiem nowe doświadczenie. Czuł się szczęśliwy, że może leżeć obok Hope, kochać się z nią, rozmawiać albo milczeć.

Wszystko mu odpowiadało. I nie przerażało. Ogarniało go coraz większe podekscytowanie.

- Chcesz mieć dzieci? - zapytał zniecierpliwiony.

- Dzieci? - powtórzyła zszokowana.

- No wiesz, małych ludzi podobnych do ciebie albo do mnie?

- Eee... chyba chcę. Kiedyś. Ale nie od razu.

- Świetnie. Cieszę się, że jesteśmy co do tego zgodni.

Hope roześmiała się i zapytała:

- Wszystko w swoim czasie. Niewykluczone, że już jestem bezrobotna, albo zaraz będę.

J.T. otrzeźwiał.

- Wiesz, kiedy przeszedłem do cywila, nie umiałem się odnaleźć. Nie chciałem z nikim się wiązać, bo uważałem, że to nie fair zmuszać drugą osobę do dźwigania brzemienia mojej przeszłości. Szczerze przyznaję, że dobrze się bawiłem, skacząc z kwiatka na kwiatek. Aż spotkałem cię. - Hope spojrzała na niego czule. - Od pierwszej chwili coś mnie w tobie intrygowało. Nie spodziewałem się, że znalazłem kobietę, z którą spędzę resztę życia.

- Czy mówisz o...

Pocałował kolejno koniuszki jej palców, a przy serdecznym zapytał:

- Jeśli mnie przyjmiesz.

- Lepiej ze mną nie żartuj.

- W poważnych sprawach nie żartuję. Jestem w stu procentach pewien, że na całym świecie nie ma dla mnie lepszej żony od ciebie. Martwi mnie jedynie, czy ja jestem dla ciebie dość dobry.

Zamiast odpowiedzi pocałowała go w usta.

- Więcej niż dość - zapewniła go. - Mamy całe życie, aby to sobie nawzajem udowodnić.

Bardzo mu ten plan odpowiadał. Przytulił Hope.

- To jak będzie z tymi dziećmi? Możesz określić, co znaczy kiedyś? Bo ja mam ochotę zacząć już teraz.

Hope zachichotała, a J.T. uznał to za zachętę, aby wprowadził swój zamiar w czyn.

## EPILOG

- Powiedz mi, skąd Deirdre zna DeLeona - poprosił.

Leżeli objęci w łóżku. Splótł palce z jej palcami.

- Najwyraźniej spotkała go na jakiejś imprezie charytatywnej. Kiedy się dowiedział, że zajmuje wysoką pozycję w Tessara Pharmaceuticals i nadzoruje dział wirusologii, zaczął jej nadskakiwać. Zdołał ją przekonać, że ją kocha i obiecywał wspólną romantyczną przyszłość. Oczywiście chodziło mu tylko o wyciągnięcie informacji o badaniach w naszym laboratorium.

- Kiedy usłyszała o jego rzekomej śmierci, musiała wpaść w panikę.

- Skontaktował się z nią chyba w miarę szybko, bo zachowała zimną krew. Usiłowała wysondować, jak wiele wiem, ale na szczęście ja cały czas słyszałam w głowie twój głos nakazujący spokój i ostrożność. Posłuchałam i wyszło mi to na dobre.

J.T. uśmiechnął się.

- Cieszę się, że mój głos odezwał się w twojej głowie we właściwej chwili.

- Strasznie za tobą tęskniłam - wyznała i zamknęła oczy. J.T. musnął wargami jej usta. - Nigdy nie powinnam była ciebie odpychać.

- A ja nie powinienem odejść.

W sercu Hope wezbrało uczucie do J.T. Miłość? Tak, teraz była pewna, że to miłość.

- Co będzie dalej? - zapytała. - Jego prawnicy mogą go wyciągnąć. Co wtedy?

- Wątpię, żeby im się udało. DeLeon jest zatrzymany, policja bada jego przeszłość i już odkryła wiele podejrzanych interesów, za które należało go ścigać.

- To dobrze. Mam nadzieję, że resztę życia spędzi w więzieniu w jednej celi z kimś, kto da mu wycisk.

- Jesteś bezwzględna, okrutnico. - J.T. był rozbawiony. - Ale to

mi się podoba. Wiesz, zaimponowałaś mi, kiedy rozkwasiałaś mu nos, a potem ten kop... To było coś.

Mocniej przytuliła się do niego.

- Szkoda, że nie miałam tyle odwagi, kiedy zaatakował mnie w sypialni. Może gdybym stawiała większy opór, nie zdołałby mnie zawieźć na lotnisko.

J.T. wsunął jej palec pod brodę i zmusił do spojrzenia na siebie.

- Posłuchaj... Zrobiłaś tyle, ile mogłaś. Nie zadręczaj się. Jesteś najodważniejszą, najinteligentniejszą i zdecydowanie najseksowniejszą kobietą na świecie i nigdy nie dam ci o tym zapomnieć.

Hope ciepło się zrobiło koło serca. J.T. sprawiał, że czuła się wyjątkowa, piękna i niebezpiecznie seksowna.

Poszcęściło się jej w miłości. Znalazła mężczyznę, który ją rozpala, i jest diabelnie inteligentny.

Uśmiechnęła się do siebie. Miała nadzieję, że Tanya przygląda się jej z góry. Może nie przygląda, ale aprobejuje, bo trafiła na partnera, jakiego żaden komputerowy portal randkowy by dla niej nie znalazł. Och, gdyby Tanya żyła...

Aha! Jeszcze jedno.

- Zapomniałam ci powiedzieć - Hope przejęta uniosła się na łokciu - że dostałam nagrodę za udział w zdemaskowaniu Deirdre i awans. Mówiłam ci, że Tessara Pharmaceuticals się zmienia. Naprawdę chcą poprawić swój wizerunek. Powołali komisję, która opracuje nowy regulamin, aby takie rzeczy się nie powtórzyły.

- Ja jednak czułbym się zdecydowanie lepiej, gdybyś znalazła inną pracę - upierał się. - Każde laboratorium badawcze z otwartymi ramionami przyjmie specjalistkę tej rangi.

Tym razem Hope wiedziała, że J.T. chodzi tylko i wyłącznie o jej dobro, więc się uśmiechnęła.

- Co z tobą? Co zamierzacie zrobić z firmą? - zapytała.

- Teagan zmienił zdanie i chce, żeby Błękitne Przystworza dalej działały. Powiedziałem, że już się pogodziłem z fiaskiem, ale on nabrał wiary, że się uda. Pieniądze, jakie dostaliśmy, pozwolą nam utrzymać się na powierzchni, aż wymyślimy nową strategię.

- To dobrze, bo... - Hope zawiesiła głos - bo byłam ciekawa,

jak długo leci się do Cabo.

J.T. całkiem się pogubił.

- Chcesz wracać do Meksyku?

- Pomyślałam, że miło by było spędzić tam trochę czasu jako turyści, wylegiwać się na plaży i popijać drinki ozdobione papierowymi parasolkami. Meksyk jest piękny, jeśli nie musisz skakać do wodospadu i uciekać przed zbirami, którzy do ciebie strzelają.

J.T. objął ją mocno i przytulił. W jego ramionach czuła się cudownie bezpieczna.

- Pojedziemy, dokądkolwiek zechcesz - obiecał.

Tytuł oryginału: The Flyboy's Temptation  
Pierwsze wydanie: Harlequin Blaze, 2016  
Redaktor serii: Ewa Godycka  
Opracowanie redakcyjne: Ewa Godycka  
Korekta: Urszula Gołębiowska

© 2016 by Kimberly Sheetz

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o. Warszawa 2017

Wydanie niniejsze zostało opublikowane na licencji Harlequin Books S.A.  
Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości  
dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.

Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych i umarłych – jest całko-  
wicie przypadkowe.

Harlequin i Harlequin Gorący Romans są zastrzeżonymi znakami należącymi do  
Harlequin Enterprises Limited i zostały użyte na jego licencji.

HarperCollins Polska jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Pu-  
blishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce wykorzystana za zgodą Harlequin Books S.A.

Wszystkie prawa zastrzeżone.

HarperCollins Polska sp. z o.o.  
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B, lokal 24-25

[www.harlequin.pl](http://www.harlequin.pl)

ISBN: 978-83-276-2972-2

Konwersja do formatu MOBI:  
Legimi Sp. z o.o.



# Spis treści

Strona tytułowa  
Rozdział pierwszy  
Rozdział drugi  
Rozdział trzeci  
Rozdział czwarty  
Rozdział piąty  
Rozdział szósty  
Rozdział siódmy  
Rozdział ósmy  
Rozdział dziewiąty  
Rozdział dziesiąty  
Rozdział jedenasty  
Rozdział dwunasty  
Rozdział trzynasty  
Rozdział czternasty  
Rozdział piętnasty  
Rozdział szesnasty  
Rozdział siedemnasty  
Rozdział osiemnasty  
Rozdział dziewiętnasty  
Rozdział dwudziesty  
Rozdział dwudziesty pierwszy  
Rozdział dwudziesty drugi  
Rozdział dwudziesty trzeci  
Rozdział dwudziesty czwarty  
Epilog  
Strona redakcyjna